

BARBARA KIECZKA

PRZEDWOJENNA
DRZEWNA, GARNCARSKA
I GÓRNA

ZE WSPOMNIEŃ IRENY TWARDZIK



Żory 2005

**Szósta pozycja z cyklu
wydawniczego „Pamiętam Żory”**

BARBARA KIECZKA

PRZEDWOJENNA
DRZEWNA, GARNCARSKA
I GÓRNA

ZE WSPOMNIEŃ IRENY TWARDZIK



Projekt okładki
i strony tytułowej: ADAM KLEMENS

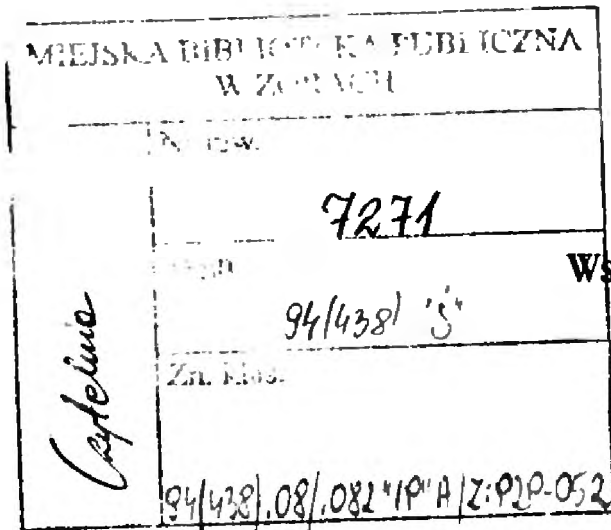
Opracowanie redakcyjne: JAN DELOWICZ
HENRYK SKUPIEŃ
GRZEGORZ UTRATA

Opracowanie graficzne
całości: STANISŁAW SZWARC

Skład tekstu: MAREK WILEWSKI

Korekta: WIESŁAW SIENKIEWICZ

Na okładce i na wklejce: grafika STANISŁAWA SZWARCA
przedstawiająca przedwojenną
zachodnią część żorskiej starówki



Wydawca: Drukarnia Oldprint
Współwydawca: Towarzystwo Miłośników
Miasta Żory

Druk: Drukarnia Oldprint
H. Skupień i St. Pidek
Żory, ul. Fabryczna 10A

Reprodukowane w książce fotografie pochodzą ze zbiorów rodzinnych rodzin: Hałaczów, Kasprowskich, Kieczków, Markowskich, Twardzików oraz z zasobów archiwalnych Towarzystwa Miłośników Miasta Żory.

Copyright © 2005 Barbara Kieczka Wydanie I

ISBN 83-88415-32-8

Słowo wstępne

Szanowny Czytelniku!

Przed trzema laty Towarzystwo Miłośników Miasta Żory wydało książkę pani Barbary Kieczki, opisującą przedwojenny żorski Rynek i jego mieszkańców.

Książka ta powstała na kanwie wspomnień pana Kazimierza Hermana – żorzanina, bystrego obserwatora obdarzonego fenomenalną i fotograficzną wręcz pamięcią.

Pióro autorki i barwne wspomnienia pana Kazimierza z lat młodości, wspaniale zilustrowane mistrzowską kreską Stanisława Szwarca, pozwoliły czytelnikom poznać klimat przedwojennych Żor, wczuć się w atmosferę śląskiego miasteczka sprzed siedmiu dziesiątków lat, poznać życie miasta i losy ludzi, składające się na burzliwą historię Żor pierwszej połowy ubiegłego stulecia. Historia Żor, tak jak historia innych miast, składa się nie tylko z faktów odnotowanych w dokumentach archiwalnych, w protokołach urzędowych bądź raportach statystycznych. Tę bardziej żywą i częstokroć prawdziwszą historię tworzą wspomnienia mieszkańców.

Książka „Przedwojenny żorski Rynek i jego mieszkańcy” spotkała się z wyjątkowo życzliwym przyjęciem czytelników, a dla działaczy naszego Towarzystwa zainteresowanie żorzan historią swego miasta pozwalało mieć nadzieję na kontynuację cyklu „Pamiętam Żory”. I tak też się stało.

Po przeczytaniu wspomnień o przedwojennym żorskim Rynku, akces do Towarzystwa Miłośników Miasta Żory zgłosiła pani Irena Twardzik, pamiętająca wybornie życie w przedwojennych Żorach, a szczególnie w zachodniej części starego miasta.

I tak zrodził się pomysł utrwalenia drukiem kształtu tej części miasta i przypomnienia mieszkańców ulic Drzewnej, Garncarskiej i Górnej.

Wraz z upływem lat w sposób nieubłagany zacierają się w naszej pamięci wydarzenia i ludzie, ale dzięki słowu drukowanemu historia ta przetrwa i stanowić będzie część dziedzictwa następnych pokoleń żorzan.

Żywimy przekonanie, że i ta książka cieszyć się będzie zainteresowaniem oraz spotka się z życzliwym przyjęciem zarówno osób pamiętających ówczesne Żory, jak i tych, dla których Żory stały się rodzinnym miastem w latach późniejszych.

W lutym 2005 r.

Towarzystwo Miłośników Miasta
Żory

O autorce

Autorka wspomnień pani **IRENA TWARDZIK** jest rodowitą żorzanką. Pochodzi z rodu Piecuchów – żorskich tkaczy, których udokumentowany rodowód sięga XVII wieku. Swojego dziadka Augustyna Piecucha, który zmarł w 1921 roku, zna tylko z opowiadań babki Joanny (z domu Tyrtania), która przeżyła męża o 19 lat. Swojego ojca Franciszka Smusza utraciła, mając zaledwie dziewięć lat. Wychowywana była wraz ze starszą siostrą Lidią przez owdowiałą matkę Helenę Smusz (z domu Piecuch).

*Joanna i Augustyn
Piechowie*



Wspomnienia pani Ireny dotyczą ostatnich lat niepodległej Polski, czyli okresu do 1939 roku. Tworzą one obraz życia niewielkiego miasteczka, jakim wówczas były Żory.

Dzięki jej wspomnieniom poznamy ówczesnych mieszkańców trzech ulic wychodzących z żorskiego Rynku: reprezentacyjnej ulicy Drzewnej i dwóch ulic: Garncarskiej i Górnej, przy których kończyły się posesje właścicieli domów z Drzewnej.

Poznamy również życie mieszkańców Żor w czasie okupacji hitlerowskiej, widziane oczami dziecka obdarzonego niezwykłym zmysłem obserwacji.

Gdy wybuchła wojna, pani Irena miała niespełna jedenaście lat, była jednak bardzo uważnym obserwatorem, a nade wszystko ciekawą życia dziewczynką.

Była szesnastolatką, gdy w marcu 1945 roku w czasie „wyzwalania miasta”

Rosjanie zbombardowali i zniszczyli Żory w ponad 80%. Widziała dopalanie zgliszczy i stosy gruzów w miejscach, gdzie dotychczas stały domy jej bliskich, przyjaciół i znajomych. Dziś możemy dzięki pani Irenie cofnąć się w czasie i wpaść na chwilę do przedwojennych Żor. Wrócimy wraz z nią do miasta, które praktycznie przestało istnieć 24 marca 1945 roku. Wrócimy oczywiście w wyobraźni, którą uruchomią opisy domów i wspomnienia o żyjących wówczas ludziach.



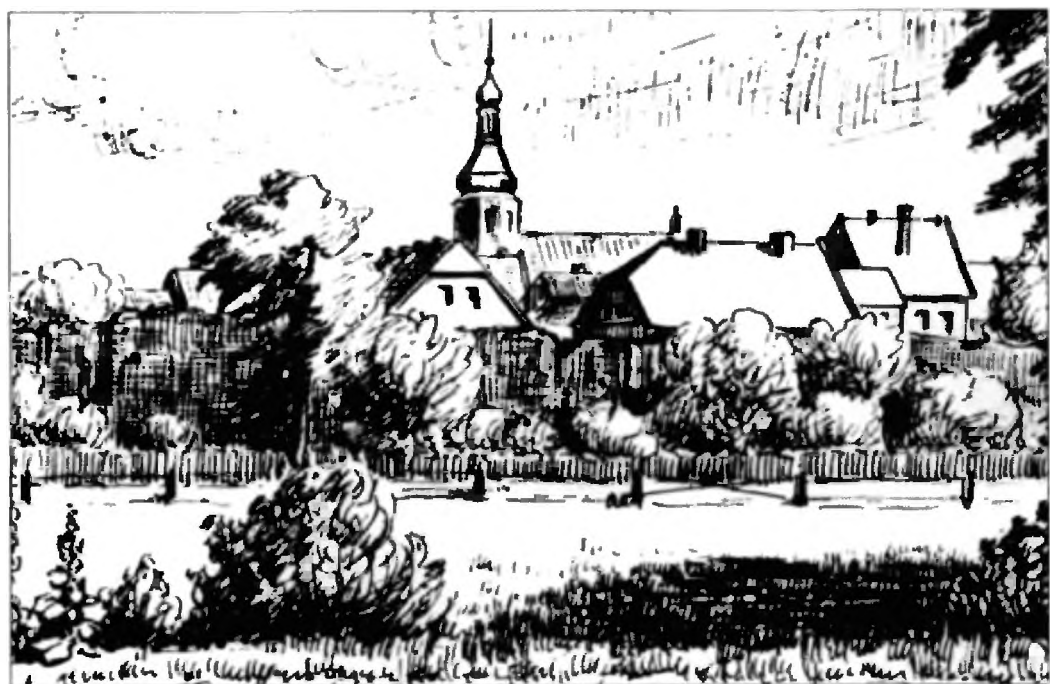
*Jubileusz 75-lecia babci
Joanny Piecuch
(w środku), po lewej
matka Helena Smusz,
a po prawej siostra Lidia,
u dołu autorka Irena
Twardzik.*

WSPOMNIENIA

O rodzinie

Tak pisze o swojej rodzinie i o ojcu pani Irena Twardzik:
„....Urodziłam się w moim cudownym obecnie miasteczku – w Żorach na Górnym Śląsku, w budynku urzędniczym przy ulicy Pszczyńskiej, obok przydrożnego krzyża, ale wychowałam się w rodzinnym domu mojej matki na ulicy Drzewnej. Mój ojciec Franciszek Smusz był kierownikiem Kasy Miejskiej i dyrektorem Oszczędnościowej Kasy Komunalnej aż do swojej śmierci w styczniu 1937 roku. Był również członkiem zarządu okręgowego Kas Komunalnych w Katowicach, na którego czele stał wówczas dr Adam Kocur – ostatni przedwojenny prezydent Katowic, który pełnił to stanowisko do 3 września 1939 roku.

Wbrew swoim przekonaniom ojciec w czasie I wojny światowej musiał walczyć w armii niemieckiej. Został poważnie ranny i leżał w szpitalu w Monachium. Po rekonwalescencji wyjechał do Königsberga (dziś Kaliningrad w Rosji), gdzie podjął pracę, równocześnie dokształcając się w dziedzinie bankowości, księgowości i administracji.



*Panorama
przedwojennych Żor na
rysunku H. Schymalla*

Mój dziadek Paweł Smusz już za czasów pruskich protestował przeciwko likwidacji języka polskiego w szkole w Kleszczowie, do której uczęszczało sześćoro jego dzieci. Na wieść o wybuchu powstania śląskiego wezwał mojego ojca do powrotu na Śląsk.

Przypadek zrządził, że dopiero po II wojnie światowej, w latach 50-ych XX wieku, poznałam powstańcze losy mojego ojca. W żorskim szpitalu pracował wówczas lekarz reumatolog Bogdan Keller.

Jego ojciec poznał mojego ojca Franciszka Smusza jeszcze przed wybuchem powstań śląskich. Od niego dowiedziałam się, że mój ojciec był wówczas intendentem garnizonu Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska w Sosnowcu. Była to organizacja konspiracyjna, której głównym celem była walka o powrót Górnego Śląska do Polski. Ponieważ ojciec był saperem w stopniu podporucznika, w czasie powstania wraz ze swoim oddziałem wysadzał mosty i tory kolejowe w okolicach Kędzierzyna, Tarnowskich Gór i prawdopodobnie Lublińca.

Wiem na pewno, że został schwytany przez Niemców i osadzony w więzieniu w Kluczborku, gdzie czekał na wykonanie wyroku śmierci.

Jednak los chciał inaczej. Dzięki sprytowi i zręczności zdołał wydostać się z więzienia i schronić w misji francuskiej. W czasie II powstania śląskiego ojciec został ranny.

Z relacji mojego kuzyna wiem, że do Żor ojciec wkroczył na czele swojego oddziału POW. Gdy po powstaniach śląskich Żory wróciły do Polski, mój ojciec pracował w żorskim Magistracie jako kierownik Kasy Miejskiej. Był równocześnie dyrektorem Oszczędnościowej Kasy Komunalnej. Odniesione wcześniej rany i choroba wrzodowa zniszczyły jego organizm i doprowadziły do zgonu. Krótco przed śmiercią wezwał do siebie swojego kolegę Bolesława Wieczorka, któremu podyktował swój polityczny testament. Były to prawdopodobnie decyzje dotyczące różnych dokumentów związanych z działalnością Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska. Nie wiem, co się stało z tym testamentem.

W ostatniej chwili swojego życia wezwał mnie i moją siostrę Lidię do swego łóża, by udzielić nam ojcowskiego błogosławieństwa. Dał nam kilka wskazówek dotyczących tego, jak

powinniśmy postępować w naszym życiu. Między innymi kazał trzymać się z dala od polityki.

Niestety, nastąpiły inne czasy i nie dotrzymałam słowa danego ojcu, co przysporzyło mi wiele nieprzyjemności w okresie okupacji i w czasach powojennych. Ojciec zmarł 25 stycznia 1937 roku w wieku 45 lat.

Po śmierci taty stanowisko kierownika Kasy Miejskiej w żorskim Magistracie objął pan Musioł, który dotychczas był jego zastępcą. Nowym dyrektorem Oszczędnościowej Kasy Komunalnej został pochodzący z Cieszyna mgr Kraszyna, który zajmował to stanowisko do 31 sierpnia 1939 roku. W czasie okupacji kierownikiem Kasy Miejskiej był pan Natschiński..."

Różne wydarzenia polityczne w przedwojennej Polsce głęboko utkwily w pamięci pani Ireny. Mimo tego, że była wówczas dzieckiem, pamięta np., że rodzice zabrali ją i jej siostrę do Krakowa, by pożegnać zmarłego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego. Tak wspomina ten wyjazd:

....12 maja 1935 roku zmarł Marszałek Józef Piłsudski. Krótco po jego pogrzebie pojechalismy do Krakowa wraz z adwokatem panem Wojciechowskim i z państwem Noconiami, którzy prowadzili na Rynku sklep z trafiką, czyli z artykułami tytoniowymi.

*Powitanie Marszałka
Józefa Piłsudskiego na
żorskim rynku w 1922 r.*





*Marszałek J. Piłsudski
przyjmujący defiladę
żorskich artylerzystów*

*Uczniowie z nauczycielem
Alojzym Cieplikiem
podczas uroczystości ku
czci Prezydenta RP
Ignacego Mościckiego*



Trumna ze zwłokami Marszałka spoczęła na Wawelu. Widziałam przez szybkę twarz Józefa Piłsudskiego i całe mnóstwo kwiatów wokół trumny. Miałam wówczas niespełna siedem lat..”

W 1937 roku po śmierci ojca pani Irena przeszła operację wyrostka robaczkowego. Po jakimś czasie wraz z matką pojechała do Katowic na zaproszenie przewodniczącego rady wojewódzkiej Oszczędnościowych Kas Komunalnych po odbiór wsparcia finansowego. Tak wspomina ten wyjazd i rekonwalescencję:

„...Moja mama wraz ze mną została zaproszona przez przewodniczącego wojewódzkiej rady OKK, prezydenta Katowic dr. Adama Kocura do odbioru zapomogi dla rodziny i na

moją rekonwalescencję. Za życia ojciec zabrał mnie kiedyś na jedno z zebrania tej rady i wtedy poznałam dr. Kocurę, a właściwie to on mnie poznał i zapamiętał. Przez całe zebranie siedziałam bardzo grzecznie na krześle pod ścianą. Nudziłam się okropnie, ale przyrzekłam ojcu, że będę grzeczna i byłam! Dr Kocur był również obecny na pogrzebie mojego ojca.

Latem mogliśmy wyjechać na wypoczynek i rekonwalescencję do Ustronia. W tym czasie w Wiśle odbywała się wielka uroczystość pod nazwą „Święto Gór”. Do dziś pamiętam to wydarzenie z wielu przyczyn. Pamiętam matkę ubraną w strój cieszyński i to, że wyglądała w nim przepięknie. Trybuna honorowa ustawiona była na zwężeniu drogi, między rzeką Wisłą a wzgórzem. Wokół trybuny stały tłumy ludzi. W pochodzie maszerującym przed trybuną szli umundurowani harcerze, maszerowali też żołnierze w pelerynach, którzy nosili góralskie czapki z piórkiem. Dowiedziałam się wówczas, że są to strzelcy podhalańscy. W pochodzie szli również górale beskidzcy i górale z Podhala, a ich stroje różniły się wieloma elementami. Wtedy właśnie widziałam z bliska ówczesnego siwiutenkiego prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, Ignacego Mościckiego. Po defiladzie siedział w wiślańskim parku w otoczeniu harcerzy i młodzieży. Widziałam również ówczesnego marszałka Polski, Edwarda Rydza-Śmigłego. Kilka dni później ze znajomymi z Żor, państwem Torencami, pojechalismy zwiedzić zameczek prezydenta Mościckiego na Kubalonce. Pan Torenc był znanym i cenionym żorskim architektem. Niewiele z tego zwiedzania pamiętam, natomiast utkwiała mi w pamięci willa malarza i rzeźbiarza Konarzewskiego, w której była wystawa jego malarstwa

Hanne Globisch-Schymalla



i rzeźby. Pamiętam również piękny, drewniany kościółek wystrojony jego rzeźbami. W czasie trwania pamiętnego „Święta Gór” zwiedziłam również wystawę malarzy Beskidu Śląskiego i chyba wówczas zrodziła się we mnie pasja zwiedzania muzeów i wystaw, która pozostała mi do dzisiaj.

W czasie okupacji żorzanka pani Hanna Schymalla, utalentowana malarka, miała wystawę swoich prac w hotelu pana Szwarca, który, przejęty wówczas przez Niemców, nosił nazwę „Panzer Hotel”. Miałam okazję oglądać tę wystawę i widzieć przepiękne akwarele krajobrazowe naszego miasta i portrety rysowane ołówkiem i tuszem. Na portretach były między innymi żorskie unikatowe osobowości – postaci, które urozmaicały klimat przedwo-

jennych Żor. Pamiętam portret miejscowego wesołka, sympatycznego pana Herliczka z siwą czupryną i przepiękną siwą brodą. Przypominał sławnego Leonarda da Vinci i podobno był dawniej burmistrzem Chorzowa, ale przed wojną stale przebywał w Żorach.

Na wystawie był też portret drugiego wesołka, w czapce z daszkiem na głowie, o nazwisku lub przezwisku „Brudek”, który po wypiciu paru kieliszków zabawnie tańczył ku ucieśze miejscowej dzieciarni.

Następną osobą sportretowaną przez panią Hannę Schymalę była tzw. „Oblatenfrau”. Była to pani Mistecka, która wypiekała i sprzedawała na odpustach i festynach okrągłe opłatki zlepione cukrem. Portretu doczekała się również „Francla” – żona stolarza p. Franca, która na Rynku, obok stacji benzynowej sprzedawała wodniste lody...”

O pamiętnych wydarzeniach

*Generał Józef Haller
z wizytą w Żorach w 1938 r.
W jego otoczeniu stoją:
J. Wyrobek i burmistrz
Florian Leśnik*

Ważnymi dla miasta wydarzeniami przed wojną były przyjazdy do Żor znanych w Polsce osobistości. Taką osobistością był bez wątpienia polityk, generał Józef Haller. Jego pobyt w Żorach pani Irena opisuje następująco:

*„...Pamiętam przyjazd do naszego miasta, na zaproszenie
tutejszego Związku Hallerczyków, gen. Hallera w 1938 roku.
Miałam wówczas niespełna dziesięć lat i moje zainteresowa-
nie skupiało się tylko na zewnętrznej oprawie tego ważnego
wydarzenia. Powitanie gościa odbyło się na placu szkolnym*

*szkoły powszechnej przy ul. Ryb-
nickiej. Po odczytaniu rozkazu
i przemówieniu, które wygłosił
generał Haller, odbyła się defila-
da na Rynku. Z wielką cieka-
wością obserwowałam defiladę po-
wstańców śląskich, którzy ma-
szerowali w blade-zielonych
mundurach i hallerczyków, któ-
rzy nosili bardzo ładne niebie-
skie mundury.*

*Nie tylko moją uwagę przykuł
powóz zaprzężony w białe, brą-*



*Generał Haller
w Żorach*

zowo nakrapiane konie. W powozie siedział generał, a powoził właściciel ziemski z Szerokiej, pan Stampe. Zadziwiał widzów nie tylko białą brodą i białymi wąsami, ale niezwykle ekscentrycznym wyglądem. Jego ubiór przypominał mi angielskiego lorda czy szkockiego ziemianina. Na głowie miał kraciastą czapkę z daszkiem, marynarkę w tzw. „kurzą stopkę” i spodnie „pumpy”. Stampe słynął z oryginalności nie tylko w stroju, ale także w zainteresowaniach.

Kiedys wuj Augustyn Piecuch zabrał mnie do majątku pana Stampego w Szerokiej. W czasie, gdy załatwiał z nim swoje interesy, oglądałam kilkanaście klatek, w których były psy przeróżnych ras. Prawdopodobnie służyły właścicielowi do polowań...”

Z życia kulturalnego miasta

Amatorska grupa teatralna z żor w okresie międzywojennym

Często w swoich wspomnieniach pani Irena powraca do kulturalnego życia miasta przed II wojną światową. Atrakcją dla mieszkańców Żor były wówczas rozmaite imprezy, organizowane dla dzieci, młodzieży i dorosłych przez działające w mieście stowarzyszenia i organizacje.





Grupa teatralna zorskiego „Sokoła”

*Korowód dziecięcy
na ulicy Drzewnej*



Były to bale, spektakle teatralne, festyny i inne uroczyste imprezy z barwnymi pochodami i wieciami na zorskim Rynku. Działy też dwa prywatne kina, w których wyświetlano początkowo filmy nieme, do których na fortepianie przygrywał pianista. Jedno z kin mieściło się u Broła na piętrze (obecnie sala widowiskowa Miejskiego Ośrodka Kultury). Na tej sali ustawione były ruchome krzesła, a nad wejściem do sali był balkonik. Pierwsze seanse oglądane przez panią Irenę to nieme filmy opowiadające o przygodach Flipa i Flapa – pary „nieśmiertelnych” komików amerykańskich.

Przy ulicy Strzeleckiej (obecnie Kościuszki) u restauratora Mazurka była inna sala widowiskowa. Mieściła się na piętrze, nad restauracją. Była tam scena i wnęka, w której był bar. Tak wspomina tę salę pani Irena:

„...Tę salę dobrze zapamiętałam, gdyż w czasie okupacji któregoś dnia wyświe-

tlano tam film niedozwolony dla młodzieży. Byłam nastolatką, miałam wówczas zaledwie 11 czy 12 lat, ale bardzo chciałam ten film zobaczyć. Pod osłoną ciemności wśliznęłam się do tej sali i ukryłam za barem znajdującym się we wnęce. Niczego nieprzyzwoitego w tym filmie nie widziałam prócz rąbka białych majteczek jednej z aktorek.

Na tej sali odbywały się też inne imprezy związane z niemiecką mniejszością narodową. Szkoda, że dziś nie ma tej sali, bo była bardzo piękna.

Salę kinową u Majchrowicza (róg Rynku i ul. Koszarowej) słabo pamiętam, ale z pewnością jako dziecko też oglądałam w niej nieme filmy...”

O okupacji

Najsilniejsze są wspomnienia z okresu wojny i okupacji hitlerowskiej, która trwała w Żorach 5 lat, 6 miesięcy i 23 dni. Tak wspomina ten czas pani Irena:

„...1 września 1939 roku niemieckie wojska wkroczyły rano do Żor, ku wielkiemu zadowoleniu wielu tutejszych Niemców. Ulice zaczerwieniły się od zwisających z wielu okien czerwonych flag z czarną swastyką.

Moja matka nie zdecydowała się na ucieczkę z miasta, ponieważ ojciec – powstaniec śląski już nie żył. Uważała, że Niemcy zostawią ją, samotną wdowę z dwiema nieletnimi córkami, w spokoju. Dobrze знаła język niemiecki, od lat żyła bez konfliktów z miejscowymi Niemcami i sądziła, że jakoś da sobie radę. W skrytości ducha wierzyła w to, że Niemcy i tak tę wojnę przegrają. Mówiła nam, że jest takie niemieckie przysłowie: „Strenge Herrn regieren nicht lange” – co oznacza, że chciwi władzy, zborcy, długo nie rządzą. Jeszcze przed wojną wierzyła w to, że nastaną Stany Zjednoczone Europy. Nie doczekała się spełnienia marzeń. Przeżycia wojenne i powojenne zniszczyły jej zdrowie fizyczne i psychiczne.

Już 3 września 1939 roku zjawił się w naszym rodzinnym domu niemiecki komornik i opieczętował prawie całe mieszkanie. Do naszej dyspozycji pozostawił ciemną kuchnię i sypialnię, natomiast zajął pozostałe, umeblowane pokoje. To był początek prześladowań. W 1940 roku odebrano nam dom wraz z oficyną i odtąd stał się on własnością Rzeszy Niemieckiej.



Matka musiała płacić czynsz za zajmowane przez nas pomieszczenia.

Brat matki Augustyn Piecuch, aresztowany przez Niemców na początku wojny wraz z innymi jako zakładnik, po uwolnieniu w krótkim czasie wyprowadził się do Katowic. Bał się ponownego, nieuzasadnionego aresztowania. Nie zajmował się polityką – a stał się ofiarą dyskryminowaną przez hitlerowców. Pomieszczenie na parterze budynku, które dotychczas było sklepem wujka Augustyna, Niemcy przeznaczyli na przychodnię lekarską dla matek z dziećmi.

Dopiero po wojnie, gdy zaczęły działać polskie sądy, rozpoczęliśmy starania o zwrot mienia, które w czasie okupacji wpisano do ksiąg wieczystych jako własność Rzeszy Niemieckiej. Z wielkim trudem i mozolem udało nam się odzyskać rodzinny dom na własność.

Przez cały okres okupacji towarzyszył nam strach. Obok naszych łóżek w sypialni stały worki uszyte z prześcieradeł. Każdy z nich ważył około 10 kg i wypełniony był zmienną bielizną, ciepłą odzieżą i środkami czystości. To było nasze przygotowanie na ewentualną ewakuację czy wysiedlenie, które odbywały się najczęściej nocą.

Czasami brakowało w domu jedzenia. Niemieccy kupcy nie dawali nam niczego więcej niż przewidywały racje kartkowe, które i tak były niewystarczające. Czasami mogli dać, ale teraz byliśmy obce narodowo. Niekiedy któryś z sąsiadów lub znajomych przynosił matce trochę słoniny lub kaszanki ze świniołowizną i wówczas miałyśmy święto.

Pewnego dnia wróciliśmy z siostrą wcześniej ze szkoły. Tego dnia około godziny 11. zjawili się w naszym domu dwaj niemieccy policjanci, tzw. „Schutzpolizei”. Przyszli z poleceniem przeprowadzenia rewizji. Ten wyższy nazywał się Urban, ale niektórzy mieszkańcy nazywali go „Der schöne Erich”. Znany był powszechnie z okrucieństwa. Nie zapamiętałam nazwiska drugiego, niższego policjanta, ale zapamiętałam to, że w czasie przeprowadzanej rewizji kopął moją matkę.

Policjanci byli dobrze poinformowani, gdzie i czego mają szukać. Znaleźli i zarekwirowali kilka odznaczeń mojego ojca i wełnianą makatę, przedstawiającą białego orła w koronie na czerwonym tle, ręcznie utkaną przez kuzynkę mamy

ze Strumienia. Inne powstańcze dokumenty ojca matka, intuicyjnie chcąc je uchronić, wcześniej przekazała na przechowanie mojemu kuzynowi, przedwojennemu harcerzowi Bolkowi Kusiowi.

Dziś wiem, że wówczas matkę zdradziła pewna Polka, żona przedwojennego wojskowego z żorskiego garnizonu. Po wrześniowej kapitulacji wróciła z ucieczki i nie miała gdzie mieszkać. Moja matka ulitowała się nad tą rodziną i udostępniła jej dwupokojowe mieszkanie w oficynie. Ta kobieta często była w naszym mieszkaniu. Doradzała matce, gdzie powinna ukryć wszelkie dokumenty i odznaczenia.

Któregoś dnia matka, wróciwszy wraz z moją siostrą do domu, przyłapała tę kobietę na włamaniu i kradzieży. Nie odzyskałyśmy skradzionych rzeczy, natomiast złodziejka napisała matce, że pożałuje tego, iż ją oskarżyła. I stało się!

Policjanci szukali w tych skrytkach, które wcześniej „życzliwie” matce wskazywała. Przy okazji splądrowali całe mieszkanie, licząc na dodatkowe łupy. Nie znajdując ich, kopali matkę na naszych oczach. Rewizja trwała prawie trzy godziny. Matkę zabrano na przesłuchanie na policję. Skopana, zmaltrretowana i upokorzona, musiała iść dwa metry przed policjantami na posterunek, który znajdował się w ratuszu. Tam poddana została jeszcze dodatkowo rewizji osobistej, którą przeprowadziła pracownica policji pani Silber.

Jakimś cudem udało się matce zniszczyć pewne osobiste dokumenty i policjanci, nie mając żadnych dowodów, późnym wieczorem matkę zwolnili.

Nawet dziś trudno opisać nasze przeżycia, gdy przerażone siedziałyśmy w domu, czekając na jej powrót.

Owa Polka – zdrajczyni wyprowadziła się wraz z mężem po wojnie do Boguszowic. Oboje wstąpili do PPR i tam jej mąż zaczął robić „polityczną karierę”.

Niedługo po rewizji zostałyśmy pisemnie wezwane, jak wiele innych polskich rodzin, na tzw. „spowiedź”. Odbywała się ona w dawnym „Hotelu Polskim” należącym do p. Pawła Szwarca, a w czasie okupacji nazwanym „Panzer Hotel” i należącym do Rzeszy. Tam ważono nas, mierzono, sprawdzano kolor oczu i włosów. Ten proceder przechodziłyśmy jeszcze dwukrotnie z tym, że raz w Pszczynie, a raz w Bytomiu.

W 1943 roku zjawił się w naszym mieszkaniu starszy wąsaty SS-man z Komisji Przesiedleńczej w Jastrzębiu. Miał nas wysiedlić i zabezpieczyć meble dla niemieckiego lokatora, który dotychczas zajmował dwa pokoje w naszej oficynie. Jego mieszkanie w Dortmundzie zostało zbombardowane, widocznie więc planował dłuższy pobyt w Żorach i chciał sobie poprawić warunki lokalowe, czyli powiększyć mieszkanie. Oczywiście naszym kosztem, bo, mieszkając w oficynie, zorientował się, że jesteśmy Polkami. W domu przez całą okupację rozmawialiśmy tylko po polsku i gwarą śląską.

Wąsaty SS-man doradził matce, by poszukała możliwości uniknięcia przesiedlenia. Tym razem z wielką pomocą przyszedł nam wuj Augustyn, brat matki mieszkający w Katowicach. Dzięki temu, że posiadał sklep tekstylny, przekupił wysokiego urzędnika SS wełnianym materiałem ubraniowym. Wprawdzie zostaliśmy z siostrą wezwane do tego urzędnika, sprawdzono naszą znajomość języka niemieckiego, ale na zakończenie tego „egzaminu” SS-man powiedział nam, że mamy dobrego wujka. Dzięki wujkowi mogliśmy nadal mieszkać we własnym domu, chociaż nadal płaciłyśmy czynsz.

Na przełomie 1943 i 1944 roku w umeblowanym pokoju naszej oficyny mieszkał sublokator o niezwykle egzotycznym dla mnie nazwisku i wyglądzie. Jeśli dobrze pamiętam, nazywał się Luige Fuat Uadie Kafiti. Urodził się w Kairze z matki Niemki i ojca Egipcjanina. Był synem pracownika konsulatu czy ambasady egipskiej w Berlinie. Poprzednio pracował w wytwórni filmowej DEFA. W Żorach pracował w kinie „Casino”, które mieściło się wówczas w budynku dzisiejszego Miejskiego Ośrodka Kultury. Być może z powodu jego koloru skóry i orientalnej urody otrzymał ostrzeżenie, że budzi zainteresowanie niemieckich władz. Szybko przeniósł się więc do innej miejscowości i innego kina.

Po wojnie spotkałam go w Katowicach. Powiedział mi, że studiuje w szkole filmowej w Łodzi, a dodatkowo uczy się języka polskiego. Nie spotkałam go już nigdy więcej i nie wiem, co się z nim dalej działo...”

I jeszcze jedno okupacyjne wspomnienie pani Ireny, związane z przymusowo pracującymi w Żorach polskimi robotnikami.

„...W 1944 roku moja 17-letnia wówczas siostra Lidia, po ukończeniu szkoły handlowej podjęła pracę w „Eisenwerku”, późniejszej Fabryce Sygnałów Kolejowych. Tam poznała kilku polskich chłopców, pracujących na hali produkującej elementy do montażu czołgów. Byli przymusowo skierowani przez Niemców do pracy w Żorach, mieszkali w koszarach i otrzymywali głodowe porcje żywnościowe.

Za zgodą matki siostra zaprosiła czterech z nich na obiad do naszego domu. Tak się później stało, że ta czwórka przychodziła do nas codziennie, aż do wejścia Rosjan do miasta w marcu 1945 roku.

Dwaj z nich pozostali w Żorach na stałe i zostali żorzanami: pochodzący spod Warszawy Józef Słonko i świetny szewc Michał Żurawicki, który tu się ożenił. Trzeci z nich, Tadeusz Osada, który pochodził z Poznańskiego, natychmiast po wkroczeniu Rosjan opuścił nasze miasto. Czwarty z chłopców, Witold Laskowski, został inżynierem. Osiedlił się w Kielcach i odwiedził nas po wojnie kilkakrotnie. Był prawdopodobnie dyrektorem Przedsiębiorstwa Budowy Dróg i Mostów w Kielcach. Łączył obowiązkową wizytację budowanego w Żorach mostu nad torami kolejowymi z odwiedzinami w naszym domu. Pamiętał o nas i zawsze do nas wstępował. Jego odwiedziny były okazją do wspomnień z czasów okupacji i jego przymusowej pracy w Żorach...”

O szkole

Od momentu wkroczenia wojsk niemieckich do Żor, czyli od 1 września 1939 roku, życie w mieście toczyło się w miarę normalnie. Nadal funkcjonowały urzędy i poczta, sklepy nadal sprzedawały swoje towary. Trochę później niż zwykle rozpoczęły pracę szkoły. Najpierw, oczywiście, szkoła niemiecka, bo o polskiej na razie nie było niczego wiadomo. Pani Irena tak wspomina ten okres:

„...Któregoś wrześniowego poranka w 1939 roku wybrałam się z moją koleżanką Stefanią Strykowską na szkolne boisko tutejszego Gimnazjum im. Karola Miarki. Nie było jeszcze zajęć szkolnych w mieście, więc tym samym miałyśmy wolny czas. Zamierzałyśmy pobawić się na boisku.



Budynek żorskiego
gimnazjum w okresie
okupacji niemieckiej

Uwagę naszą przykuło wielkie ognisko rozpalone między salą gimnastyczną a mieszkaniem dyrektora tej szkoły Wiktora Rakowskiego (ostatniego przedwojennego dyrektora Państwowego Gimnazjum i Liceum im. K. Miarki w Żorach). Na ognisku płonęły książki. Wokół leżały stosy nadpalonych lektur szkolnych, które

niemieccy chłopcy wyrzucali z biblioteki mieszczącej się na drugim piętrze budynku. Znałam ich z widzenia. Byli od nas starsi, mieli od 17 do 20 lat.

Byłyśmy niezwykle poruszone takim barbarzyństwem, jakim było palenie książek, a szczególnie szkolnych lektur. Pobiegłyśmy po wiklinowe kosze na bieliznę i zbierałyśmy ze stosu te książki, które nie były zniszczone. Kilka razy z trudem włożyłyśmy ciężkie kosze do ogrodu państwa Strykowskich, którzy wprawdzie mieszkali przy ulicy Nerlicha (obecnie Męczenników Oświęcimskich), ale ich ogród sięgał aż pod boisko tej szkoły.

Kiedy chłopcy zauważyli, że ratujemy książki przed spaleniem, musiałyśmy uciekać, bo zrobiło się naprawdę niebezpiecznie.

Po jakimś czasie przeniosłyśmy uratowane książki na strych oficyny naszego domu i tam przetrwały one przez całą okupację. Nasz dom został w marcu 1945 roku zbombardowany, ale na szczęście oficyna ocalała, a wraz z nią uratowane przez nas książki.

Po wojnie, gdy ruszyła pierwsza polska szkoła i lekcje odbywały się w zastępczym budynku przy ul. Dworcowej, oddałam książki pani profesor Marii Jagielskiej, która uczyła mnie języka polskiego. Większość książek, które wówczas z koleżanką uratowałyśmy, dotyczyła historii państwa polskiego. Były też książki o Marszałku Józefie Piłsudskim jak i inne, których tytułów już dziś nie pamiętam. Nie wiem, jaką wartość miały po wojnie te książki, ale do dziś żałuję, że nie udało się nam uratować więcej. Na usprawiedliwienie muszę dodać, że miałyśmy wówczas tylko po 11 lat !

Z chwilą otwarcia w Żorach niemieckiej szkoły, bez wiedzy matki sama zgłosiłam się do kierownika szkoły Augustyna Bomby. Poprosiłam go, aby mnie przeegzaminował, bo chciałam się uczyć i jako dziecku było mi wówczas obojętne, w jakiej jestem szkole. Czytanie niemieckiego pisma gotyckiego nie sprawiało mi żadnej trudności, natomiast miałam trochę kłopotu z mówieniem po niemiecku. Zostałam jednak przyjęta. Nauka w tej szkole nie sprawiała mi wielkich trudności. Pozostali uczniowie szkoły niemieckiej byli na ogół na tym samym poziomie co ja, która dotąd uczęszczałam wyłącznie do szkoły polskiej. Jednak nie cieszyłam się długo pobylem w tej szkole.

Po kilku tygodniach matka otrzymała z NSDAP pismo, podpisane przez Orstgruppenleiterra Gärtnera, że z pewnych powodów nie mam prawa uczęszczać do narodowoniemieckiej szkoły. Wiedziałyśmy, jakie to były te „pewne” powody! Na tym zakończyłam niemiecką edukację.

Dopiero później otwarto w mieście tzw. szkołę przekształceniową, polskojęzyczną, w której uczyli polscy nauczyciele znający również język niemiecki. Szkoła ta powstała prawdopodobnie na początku 1940 roku i istniała do końca lipca 1941 roku. Potem została rozwiązana. Niektórzy uczniowie tej szkoły zakończyli swoją edukację po szóstej klasie. Inni, posiadający lepszą znajomość języka niemieckiego, mogli kontynuować naukę w szkole niemieckiej aż do ukończenia klasy ósmej.

Pamiętam, że w tej szkole pracował pan Wilczek. Gdy władze niemieckie rozpoczęły dochodzenia dotyczące jego przeszłości, wyjechał z Żor, zacierając swoje ślady.

W szkole uczyła również przyjaciółka mojej matki Julia Hamerlakowa. Była Polką urodzoną w Rumunii i znała pięć języków obcych. Do Żor trafiła wraz z mężem Franciszkiem, który również był nauczycielem i równocześnie dyrygentem tutejszego Towarzystwa Śpiewaczego „Feniks”. Został aresztowany przez Niemców w 1940 roku i wywieziony do obozu koncentracyjnego w Majdanku koło Lublina. Tam prawdopodobnie udało mu się przeżyć trzy lata. Dopiero po wojnie przyszła wiadomość o jego śmierci. Pani Hamerlakowa pozostała z dwójką dzieci przez całą okupację w Żorach. Po roz-

wiązaniu szkoły przekształceniowej straciła pracę i nie pamiętam, z czego się utrzymywała.

Część uczniów rozwiązanej szkoły przekształceniowej zakończyła swoją edukację. Ponieważ w niemieckiej szkole nie było zbyt wielu uczniów, władze wyraziły zgodę na przyjęcie do niej tych, którzy chcieli ukończyć osiem klas nauki. Dobrze znałam język niemiecki i ponownie znalazłam się w szkole niemieckiej.

Była to już trochę inna szkoła. Po zwolnieniu dotychczasowego kierownika Augustyna Bomby, na jego stanowisko przyjęto Niemca z opolskiego, pana Haverlanda. Wśród nowych nauczycieli, sprowadzonych z Bawarii i Szwabii, był Bawarczyk pan Lang. Zapamiętałam go szczególnie z kilku względów. Był moim wychowawcą i podnajmował pokój w naszym domu. Najbardziej utkwił mi w pamięci jeden listopadowy dzień 1940 roku.

Podczas lekcji, którą prowadził w naszej klasie pan Lang, przestałam liścik mojej koleżance Oleńce Schnotale, która siedziała w pierwszej ławce. Obydwie zostałyśmy przyłapane, a właściwie zdradzone na tym drobnym przewinieniu. Nauczyciel wezwał nas do swojego pulpitu, który stał na podwyższeniu i zażądał przetłumaczenia tego „grypsu” z języka polskiego na niemiecki. Odmówiłam.

Treści tego liściku dziś już nie pamiętam. Wiem na pewno, że był to błąd, uczniowski wybryk dwunastolatki, niewart kary i poniżenia, jakiego wówczas doznałyśmy. Obydwie pamiętamy zdrajcę, który zgłosił niemieckiemu nauczycielowi nasze wielkie „przestępstwo” i to, że zostałyśmy za to spoliczkowane przed całą niemiecką klasą. Rozpłakałam się nie tylko z bólu, ale i z upokorzenia.

Od tego czasu miałam również problem ze słuchem lewego ucha. W domu, przed moją matką ów nauczyciel tłumaczył się, że wobec klasy musiał tak postąpić. Moja matka wysłuchiwała jego tłumaczeń w całkowitym, ale jakże wymownym milczeniu. Na święta Bożego Narodzenia pan Lang, czując się winnym, postanowił podarować mi prezent. Była to książka z baśniami Andersena, do której wpisał mi dedykację. Widać tak chciał odkupić swoją winę. Los czasem jednak potrafi płatać okrutne figle. Po świętach pan Lang wracał do domu wiecz-

rem, w czasie zaciemnienia. Nieszczęśliwie uderzył głową w słup telegraficzny i stracił wzrok. Oczywiście nie mógł dłużej pracować w tutejszej szkole i wrócił z powrotem do Bawarii. Minęło tyle lat, a ja nadal mam problem ze słuchem.

Po ukończeniu szkoły ludowej (Volksschule) zdałam egzamin do niemieckiej szkoły handlowej w Rybniku. Była jedyną średnią szkołą w okolicy, która przyjmowała młodzież nie pytając o jej przynależność narodową. O nauce w niemieckim gimnazjum Polacy w czasie okupacji nie mogli nawet pomarzyć!

Moja nauka w szkole handlowej była ucieczką przed tzw. „landową”, czyli wywózką dziewcząt do pracy u niemieckich rolników, lub przed tzw. „Pflichtjahr” czyli obowiązkiem jedno-roczonej bezpłatnej pracy w wielodzietnej rodzinie niemieckiej...”

Najtrwalsze wspomnienia zawsze związane są z ludźmi. Szczególnie z tymi, których spotykało się codziennie. Nie tylko z rodziną, ale koleżankami, kolegami, sąsiadami i miejscami, w których bywało się też codziennie. Obdarzona niezwykłą pamięcią pani Irena wspomina mieszkańców ulicy Drzewnej (dziś Moniuszki). Tutaj stał jej dom rodzinny, tutaj się wychowała, i tu spędziła swoje dzieciństwo. Jej wspomnienia obejmują ostatnie lata przed wybuchem wojny i okres okupacji. W marcu 1945 roku większość domów na jej ulicy została zbombardowana. Pozostały na nielicznych zdjęciach, widokówkach i w pamięci niewielu mieszkańców.

Ruiny domów na rogu Rynku i ul. Drzewnej



DRZEWNA

Ulica Drzewna

*(po wojnie Szpitalna,
dziś ul. St. Moniuszki)*

Była i jest jedną z ośmiu głównych ulic wychodzących z obszernego żorskiego Rynku. Jej nazwa być może jest związana ze sposobem utwardzania dróg miejskich stosowanym w średniowieczu, a polegającym na wykładaniu ulic okrągłymi drewnianymi kłodami.

W pierwszej żorskiej historii i kronice miasta „Historia miasta Żory na Górnym Śląsku”, jej autor ksiądz Augustyn Weltzel kilkakrotnie wymienia tę ulicę.

Wspomina o skardze, która wpłynęła do tutejszego Magistratu w 1766 roku na zły stan drogi wiodącej od Rynku w kierunku Wodzisławia, na której konie kaleczyły nogi na zbutwiałych drewnianych drągach. Łatwo się domyślić, że skarga dotyczyła ul. Drzewnej, bowiem była głównym traktem wiodącym od Rynku do bramy górnej i dalej na Wodzisław.

11 maja 1766 roku Magistrat w odpowiedzi skarżącym się wyjaśniał trochę przekornie, że „...przejażdżki konne są niebezpieczne nawet na drogach wybrukowanych kostką kamienną...”

*Perspektywa ul. Drzewnej
w kierunku Rynku*



Kolejna wzmianka pochodzi z roku 1820. Autor historii Żor informuje, że wybrukowano ulicę wiodącą od Rynku do bramy górnej. W 1865 roku podaje już nazwę ulicy pisząc, że poszerzono i przebudowano ulicę Drzewną, a do jej poszerzenia zakupiono działki ogrodowe.

Ostatnia informacja zawarta w tej księdze dotyczy już mieszkańców ulicy. Ksiądz Weltzel pisze, że „...1 lipca 1886 roku żołnierze czwartego szwadronu śląskiego pułku ułanów nr 2 zamieszkali w oficynach domu Lipińskiego przy ulicy Drzewnej...”

Od wieków ulica nosiła nazwę Drzewnej. W czasie okupacji zmieniono jej nazwę na Holtzstrase. Natomiast tuż po wojnie, 28 grudnia 1945 r., Miejska Rada Narodowa w Żorach podjęła uchwałę o zmianie nazw ulic. Wtedy to ulicę Drzewną przemianowano na Szpitalną.

Kolejna uchwała Miejskiej Rady, podjęta 29 maja 1954 roku, przemianowała ulicę Szpitalną na Stanisława Moniuszki i nazwa ta funkcjonuje do dzisiaj.

W pamięci ludzi, którzy przed wojną spędzili swoje dzieciństwo na tej ulicy, pozostanie ona nadal ulicą Drzewną. Pani Irene pamięta na tej ulicy każdy dom. Wspomina również mieszkańców, swoich sąsiadów i znajomych.

Wędrówkę po ulicy Drzewnej rozpoczynamy od jej lewej strony (patrzac od Rynku), przy której stały domy następujących właścicieli:

Dom Winklerów

Stał u wylotu ul. Drzewnej na żorski Rynek. Był to piętrowy budynek z wysokim, spadzistym dachem. Na początku XX wieku należał do Józefa Peschka, a potem do jego spadkobierców. Ostatnia właścicielka posesji pozostała w pamięci nielicznych mieszkańców miasta między innymi dlatego, że każdego roku w ołtarzu budowanym przy jej domu na Boże Ciało, wystawiała obraz świętej Anny. Ofiarowała go potem do miejscowego kościoła pod wezwaniem św.św. Filipa i Jakuba. Pani Peschka prawdopodobnie wynajmowała, a następnie po 1922 roku sprzedała tę posesję rodzinie Winklerów.

Była to liczna rodzina, bowiem dwa małżeństwa pana Winklera przyniosły mu trzynaścioro dzieci.

W latach trzydziestych ubiegłego wieku w domu, do którego wchodziło się od strony Rynku, mieszkało już tylko troje spośród

licznego rodzeństwa: Ludwik, jego młodszy brat Alfons (bez ręki) i ich siostra, która poślubiła p. Siemianowskiego. Bracia Winklerowie prowadzili w swoim domu sklep z akcesoriami szewskimi.

Wzdłuż ulicy Drzewnej do głównego budynku Winklerów przylegały dwa parterowe domki ciągnące się aż do krzyżującej się z Drzewną ul. Bagnistej. Do niższego domu nie było wejścia od strony ulicy. Właściciele wchodzili do niego od strony podwórka, które było ponure i wąskie, z otwartym kanałem ściekowym.

Drugi, trochę wyższy parterowy budynek przylegający do poprzedniego, bracia Winklerowie wynajęli fryzjerowi panu Zymelli, który oprócz mieszkania urządził w nim swój zakład fryzjerski. Wchodziło się do niego od strony ulicy Drzewnej po kilku schodkach.

Zymellowie mieli troje dzieci: najstarszego syna, córkę Stefanię i najmłodszego syna nazywanego przez miejscową dzieciarnię „Bubi”. W czasie okupacji hitlerowskiej córka Zymellów Stefania poślubiła Alfonsa Winklera i w 1945 roku, w obliczu frontu zbliżającego się do Żor, cała rodzina wyjechała z miasta.

W marcu tego samego roku w czasie działań wojennych całkowicie zniszczeniu uległ dom Winklerów przy Rynku. Ocalał od bombardowań parterowy dom wynajmowany przez rodzinę Zymellów.

*Perspektywa ul. Drzewnej
od strony Rynku*



Dom Kasprowskich

Kolejny piętrowy dom stał na skrzyżowaniu ulicy Drzewnej z ulicą Bagnistą. Do 1922 roku był własnością rodziny Piecuchów (w 1906 r. – właściciel Paul Pietzuch, w 1922 r. – jego syn Augustyn Piecuch).

Pierwotnie mieścił się tam prawdopodobnie warsztat tkacki, w którym tkano sukna. Z tym domem wiąże się rodzinna tragedia Piecuchów, o której tak opowiada pani Irena:

„...W tym domu znajdują się strome, kręte schody do piwnicy, pochodzące chyba z XVIII lub XIX wieku. Z opowiadań mojej matki dowiedziałam się, że na tych piwnicznych schodach wydarzyła się rodzinna tragedia. Moja prababka Antonina nieszczęśliwie spadła z nich i zginęła na miejscu. Przypuszczam, że dlatego ten dom został sprzedany...”

Nabywcami domu zostali później państwo Józef i Małgorzata (z domu Ogierman) Kasprowscy. Mieli oni pięcioro dzieci: Tadeusza, Stanisława, Leona, Wojciecha i córkę Różę, która po wyjściu za mąż zamieszkała poza Żorami. Cała rodzina mieszkała na piętrze.

Na parterze tego budynku była drogeria, którą prowadził pan Józef Kasprowski.

Od 1937 lub 1938 roku w dwóch pomieszczeniach tego domu (od strony ul. Bagnistej) znajdowała się Biblioteka

*Budynki rodzin:
Kasprowskich,
Hilscholdów i Musiołów
z początków XX wieku*





Rodzina Kasprowskich przed wejściem do drogerii

Dom Hitscholdów

Na początku XX wieku posesja ta była własnością Edwarda Kulasa, natomiast w latach trzydziestych należała do fryzjera Waltera Hitscholda. Przy ulicy Drzewnej stał parterowy dom, natomiast w podwórzu była piętrowa oficyna. Dom przy ulicy miał dwa sklepy.

Hitscholdowie mieli czworo dzieci. Jedyny ich syn prawdopodobnie zmarł wcześniej, a w latach trzydziestych wszystkie ich córki były już dorosłe. Dwie niezamężne panny, Marta i Małgorzata, prowadziły w rodzinnym domu sklep tzw. „towarów krótkich”. Można było u nich kupić bieliznę męską, damską i dziecięcą oraz artykuły pasmanteryjne.

Najmłodsza z sióstr wyszła za mąż za łodzianina o nazwisku Adam. Z mężem i trójką swych dzieci mieszkała w piętrowej oficynie w podwórzu.

Drugi sklep w domu państwa Hitscholdów przeznaczony został na biuro banku, które prowadził miejscowy organista, jednocześnie dyrygent chóru „Hasło”, pan Tomasz Kucz. Potem, aż do wybuchu wojny w 1939 roku, pomieszczenia te wynajmowali państwo Materowie na sklep z obuwem i warsztat szewski.

Cała rodzina Hitscholdów wyjechała z Żor na początku 1945 roku. Ich dom w marcu tego samego roku został tylko częściowo zniszczony. Walczący w Armii Radzieckiej żołnierze ukraińscy dopełnili zniszczeń, paląc w zbombardowanym budynku ogniska i dopalając zgliszcza. Czynili tak w wielu innych budynkach.

Miejska, która działała tam do czasu wybuchu wojny. Wcześniej w tych pomieszczeniach Józef Wyrobek prowadził Spółdzielnię Oszczędnościowo-Pożyczkową. Spółdzielnia zmieniła później swą nazwę na Bank Ludowy.

Przez jakiś czas pani Kasprowska wynajmowała te pokoje swojej siostrze pani Kazikowej, która była krawcową i modystką.

W marcu 1945 roku budynek częściowo uległ zniszczeniom wojennym.

Z mieszkańcami tej posesji związane jest jedno ze wspomnień pani Ireny, ale dotyczy lat powojennych:

„...W 1975 roku przyjechał do Żor wnuk Hitscholdów, architekt Joachim Adam. Odwiedził tu tylko dwie osoby, które zapamiętał z okresu swojej wczesnej młodości spędzonej w naszym mieście: Olę Schnotale-Borkowską i mnie...”

Dom Musiołów

W latach trzydziestych XX wieku był to parterowy domek, potem dobudowano do niego dwa piętra i tym samym stał się okazałą kamienicą z tralkową attyką. Właścicielem był młynarz pan Musioł, a po jego śmierci dom przypadł w spadku żonie Józefie (z domu Machulec). Musiołowie byli bezdzietnym małżeństwem.

O pewnym lokatorze mieszkającym w domu p. Musiołów p. Irena tak wspomina:

„...U państwa Musiołów przy ulicy Drzewnej mieszkał na drugim piętrze emerytowany ksiądz Drewniok. Przeszedł na emeryturę prawdopodobnie z powodu schorzenia tchawicy, bo w przetyku miał założoną rurkę. Pomimo schorzenia był bardzo pogodny i wesoły. Pamiętam, że zimą namiętnie jeździł na łyżwach po lodzie na kleszczowskim stawie. Jego gospodynią była pani Neuman, która przez wiele lat po wojnie pracowała na probostwie...”

Na parterze budynku państwa Musiołów były dwa sklepy: jeden z mąką, w którym sprzedawała żona młynarza, a drugi z obuwem, który prowadził szewc Adolf Buchman.

W marcu 1945 roku dwupiętrowa kamienica Musiołów została niewiele zniszczona.

Dom Barteckich

Parterowy dom i sklep z rowerami i akcesoriami tej branży należał do rodziny państwa Maksymiliana i Marii (z domu Chruszcz) Barteckich. Mieli oni dwoje dzieci, które tak wspomina pani Irena:

„...Syn państwa Barteckich Piotr został inżynierem, a córka Ewa nauczycielką. Pracowała przez jakiś czas w Raciborzu. Pan Bartecki był przed wojną członkiem Strzeleckiego Bractwa Kurkowego w Żorach. W czasie działań wojennych w 1945 roku, aż do wkroczenia wojsk radzieckich, mianowany był tymczasowym burmistrzem Żor. Dzięki niemu wiele

rodzin, które wbrew zaleceniom i rozkazom Niemców nie opuściły miasta, mogło przeżyć pierwsze dni i tygodnie po wyzwoleniu. Uratował wielu ludzi od głodu, nakazując pracownikom młyna rozdanie mąki głodującym...”

W marcu 1945 roku dom państwa Barteckich został prawie całkowicie zburzony.

Dom Henselów

Na skrzyżowaniu ulicy Drzewnej z ulicą Górną (dziś ul. Bałdyka) stał parterowy budynek z charakterystyczną dużą bramą wjazdową, w którą wkomponowane były drzwi wejściowe. Drugie wejście do domu usytuowane było bliżej domu p. Barteckich. Dom był własnością rzeźnika Walentego Hensela i jego żony Olgi (z domu Rendchen).

Państwo Henselowie mieli siedmiu synów i córkę. Do 1934 roku p. Walenty Hensel prowadził ubój i sprzedawał mięso w sklepie we własnym domu. Schorowany, przekazał najstarszemu synowi Wilhelmowi – też rzeźnikowi – swoich klientów. Ten prowadził w Żorach tylko ubój, a mięso wywoził w okolice Katowic. Drugi syn, Paul, został fryzjerem, Anton piekarzem, a jedyna córka Maria uczyła się zawodu ekspedientki w sklepie pana Augustyna Piecucha na ul. Drzewnej. Wszyscy dotąd wymienieni w czasie okupacji podjęli pracę na poczcie. Kolejne, młodsze dzieci państwa Henselów to: Walter, który zmarł jako dziecko, Herbert, który został mechanikiem i pracował w warsztacie pana Barteckiego na ul. Boryńskiej, i Rajmund, który również został mechanikiem, ale pracował w warsztacie rowerowym pana Maksymiliana Barteckiego na ul. Drzewnej. Najmłodszy Rudolf został technikiem technologiem i przepracował po wojnie 54 lata w Gotartowickiej Fabryce Urządzeń Kolejowych (późniejszy ZWUS).

Dom Henselów w marcu 1945 roku uległ całkowitemu zniszczeniu.

Dom Szczepanków

Na dużej parceli leżącej na skrzyżowaniu ulic Drzewnej z Górną stał również piękny, wybudowany w latach trzydziestych, piętrowy budynek z dwuspadowym dachem. Stanowił on własność znanego i cenionego mistrza rzeźnickiego Józefa Szczepanka, który przez wiele lat wchodził w skład władz żorskiego Wolnego Cechu Rzeźników, działającego w mieście od 1585 roku. W 1932 r. Józef Szczepanek został wybrany honorowym mistrzem Izby Rzemieślniczej w Katowicach.

We wspomnieniach pani Ireny czytamy:

„...Pan Szczepanek był zamożnym człowiekiem. Miał cztery córki: najstarsza poślubiła weterynarza pana Krala, druga – inżyniera Czaję, Elżbieta wyszła za mąż za kupca pana Filipskiego, a najmłodsza została żoną farmaceuty Kutza – syna właściciela cegielni.

Dla mnie, wówczas dziecka, ich dom był przepiękny, wręcz bajkowy. Piętrowy, miał stylizowany dach z oknami i był obrosnięty bluszczem. Na rogu domu znajdował się wspaniały, wykafelkowany sklep masarski z dwoma oknami wystawowymi...”

W marcu 1945 roku dom Szczepanków został całkowicie zniszczony.

Świński Targ

Był ostatnim placem lewej strony ulicy Drzewnej (patrząc od strony Rynku). Usytuowany u zbiegu trzech ulic: Drzewnej, Ogrodowej i Nerlicha (dziś ul. Męczenników Oświęcimskich), był wybrukowany „kocimi łbami”.

Swoją nazwę zawdzięcza temu, że od lat handlowano tu prosiakami i świniami. Drugim charakterystycznym obiektem w tym miejscu była kapliczka poświęcona świętemu Janowi Nepomucenowi. Ona również została zniszczona w marcu 1945 roku i nigdy jej nie odbudowano.



Fragment placu przed szpitalem miejskim, nazywanego Świńskim Targiem. Z prawej widoczna kapliczka św. Jana Nepomucena.

Dom Hallasów

Właścicielami jednopiętrowego budynku, stojącego już po drugiej stronie ulicy Drzewnej – naprzeciwko Świńskiego Targu – byli Karol i Elżbieta (z domu Skopek) Hallasowie. Już w 1925 roku właściciel miał w tym domu sklep z artykułami kolonialnymi, z czasem rozszerzył asortyment i sklep stał się wielobranżowym.

Oprócz artykułów rolno – spożywczych można w nim było nabyć nawet niektóre materiały budowlane.

Hallasowie mieli syna i córkę, która przed wojną wyszła za mąż za stolarza z Bierunia.

W styczniu 1945 roku cała rodzina wyprowadziła się do Starego Bierunia, a w marcu tego samego roku ich dom został całkowicie zburzony.

Dom Greczych

Kolejny parterowy budynek należał do piekarza Marcina Greczego i jego żony Marii (z domu Wagner). Mistrz piekarski Marcin Greczy w 1932 roku został wybrany honorowym mistrzem Izby Rzemieślniczej w Katowicach.

Za budynkiem mieszkalnym stała piekarnia i inne pomieszczenia służące jako magazyny.

W marcu 1945 roku dom państwa Greczych został zniszczony przez działania wojenne. Ocalała od zniszczeń piekarnia, z której po wojnie korzystali państwo Antoni i Gertruda Witoszkowie.

Z tą parcelą i innymi przylegającymi do niej związane jest jedno ze wspomnień pani Ireny, dotyczące pierwszych lat po wojnie:

„... W latach 50-ych po wojnie, na parcelach rodzin Greczych i Hallasów budowano domy mieszkalne dla pracowników Zakładu Wytwórczego Urządzeń Sygnalizacyjnych (dawnej „Minerwy”) w Żorach. Pracowałam wówczas w dziale inwestycji ZWUS. Urząd Miasta wymagał, aby nabywcy parcel budowali domy zgodnie z wymogami konserwatora zabytków. W wzniesionych budynkach wejścia ozdobiono pseudoportalami o motywach roślinnych. Przy robotach ziemnych na tych parcelach natrafiono na fundamenty górnej bramy żorskich murów obronnych...”

Dom Wróblewskich

Na początku XX wieku parcela stanowiła własność rodziny Solorzów, potem nabył ją Władysław Wróblewski – pierwszy dyrektor Banku Ludowego w Żorach oraz członek stworzonej w 1919 roku Komisarzycznej Rady Miejskiej, której przewodniczył aptekarz, znany działacz społeczny Bonifacy Bałdyk. Kiedy w 1925 roku burmistrzem miasta został wybrany Adam Rostek, Władysław Wróblewski wraz z Karolem Sitko i Stanisławem Thomasem stali się członkami żorskiego Magistratu.

Stojący frontem do ulicy Drzewnej narożny, piętrowy budynek jedną stroną przylegał do wylotu ulicy Garncarskiej. Wróblewscy mieszkali wraz z trzema córkami na parterze, a na rogu tego okazałego budynku mieli swój duży sklep wielobranżowy.

Całe pierwsze piętro domu od 1928 roku zajmował dr Stefan Łytkowski, który wówczas podjął pracę w tutejszym szpitalu. Prowadził również praktykę prywatną i w zajmowanym mieszkaniu miał gabinet lekarski z poczekalnią.

Z doktorem Łytkowskim związane jest jedno ze wspomnień pani Ireny:

„... W maju 1937 roku chodziłam do trzeciej klasy szkoły powszechnej. Nauczyciel matematyki pan Kaprian uczył nas wówczas ułamków. Nie lubiłam matematyki, nie odrobiłam zadania domowego i nie chciałam pójść następnego dnia do szkoły. Powszechnie wiadomo było, że nauczyciel nie żałował swojej bambusowej trzcinki, a bezpośredni kontakt z nią bywał bardzo nieprzyjemny. Wymyśliłam więc sobie zapalenie wyrostka robaczkowego (popularnej „ślepej kiszki”). Dopięłam swego! W tym samym dniu wieczorem dr Łytkowski usunął mi w szpitalu zdrowy wyrostek. Drogo to moją matkę wdowę kosztowało, bo nie byłyśmy ubezpieczone i matka musiała zapłacić rachunek wystawiony przez żorski Magistrat...”

W czasie okupacji mieszkanie po rodzinie Łytkowskich zajął inny lekarz, Bronisław Karolczak. W domu Wróblewskich mieszkał przez całą okupację ze swoją piękną żoną i dwójką dzieci. Polaków leczył bezpłatnie. Po wojnie wyprowadził się do Katowic, gdzie był znanym kardiologiem. Jego syn Zdzisław został po wojnie inżynierem górniczym.

W marcu 1945 roku dom Władysława Wróblewskiego ocalał od zniszczeń. Sklep został przerobiony na kilka mieszkań.

Dom Heiligów

Był to piętrowy dom stojący u wylotu ulicy Garncarskiej na ulicę Drzewną. Rozpoczął kolejny fragment zwartej zabudowy ulicy, od której oddzielał go mały placyk, istniejący do dziś, a wówczas wykorzystywany jako miejsce postoju dla furmanek. Na parterze tego budynku właściciel prowadził restaurację, którą upodobał sobie mleczarze. Furmanki pełne pustych baniek po mleku godzinami stały na tym placyku przed restauracją, czekając na furmanów.

Pani Irena wspomina:

„...Bywało, że konie nieuwiązane do barierki często wracały same z wozem do domu z powodu nietrzeźwości furmana, ku uciesze przechodniów i miejscowej dzieciarni...”

Państwo Heiligowie byli prawdopodobnie bezdzietnym małżeństwem. Poprzednio ta rodzina nosiła nazwisko Święcik, ale zmieniła je jeszcze za czasów Bismarcka.

Pan Heilig był wyjątkowo pomyslowym (by nie powiedzieć chciwym) jak na ówczesne czasy człowiekiem. Obok jego posesji ludzie przechodzili do kościoła, wędrując z różnych, najczęściej odległych miejsc. Często potrzeby fizjologiczne załatwiali właśnie w jego ogrodzie. Wybudował więc w latach 20-ych na terenie swojego ogrodu, na wprost własnego domu, publiczne szalety. Oczywiście, za korzystanie z nich pobierał opłaty!

Pobierał również czynsz za pomieszczenie obok sieni prowadzącej na podwórko, bo tam właśnie szewc Adolf Buchman miał swój warsztat.

Ponieważ szewc był krewnym pani Ireny, często bywała w jego warsztacie, przyglądając się pracy przy naprawie lub szyciu butów. Tak wspomina ten warsztat:

„...Obserwując pracę szewców, czeladników i uczniów w warsztacie mojego wujka Buchmana, postanowiłam sama wykonać dla siebie trampki do biegania, skoków w dal i wzwyz. Przygotowałam kawałek granatowego sukna, tzw. „brandzol”, teksy i drewniane kołki. Kopyto w wymiarze moich stóp dali mi czeladnicy wujka. Pod ich okiem sama dokonałam tego dzieła, ale długo w tych trampkach z gumką nie pochodziłam. Drewniane kołki, niezbyt dobrze „wyraszpłowane”, uwierały i kaleczyły moje stopy. Największą jednak korzyść odniosłam z obserwacji pracy szewców, bo do dziś wiem, jak produkowano dawniej obuwie. Czeladnicy z tego

warsztatu długo pamiętali mnie i moje umiejętności szewskie nabyte w wieku 11 czy 12 lat. Spotykając mnie na ulicy, zawsze z uśmiechem kłaniali się w pozdrowieniu....”

A oto inne wspomnienia związane z warsztatem szewskim i łyżwami:

„...Zimą chciałam koniecznie mieć łyżwy. Ponieważ mama nie zgadzała się na taki zakup, wpadłam więc na pewien pomysł. Namówiłam ją, by kupiła mi drewniane pantofle w sklepie pana Winklera na Rynku. Nie pamiętam, jak zdołałam przekonać matkę, ale dopięłam swego! Stałam się właścicielką drewnianych chodaków, z którymi udałam się do warsztatu szewskiego wujka Buchmana. Czeladnicy z warsztatu nabili mi na te drewniaki po dwa miedziane druty i już miałam swoje, upragnione łyżwy. Mogłam czepiać się sań, które sunęły naszą ulicą, wioząc bańki z mlekiem do mleczarni, która była aż za dworcem kolejowym. Nieraz oberwałam za to batem od woźnicy, ale i tak było fajnie!...”

W domu Heiligów mieszkało kilka rodzin, o których tak wspomina pani Irena:

„...Mieszkała tam Frau Silber z córką. Obydwie nie lubiły Polaków. Frau Silber w czasie okupacji pracowała w niemieckiej policji. To właśnie ona przeprowadzała osobistą rewizję mojej matki.

Mieszkała tam również rodzina Goliaszów z córką i dwoma synami. Lolo i Tadek Goliaszowie byli prawdziwym postrachem wszystkich dzieci z naszej ulicy. Chcieli sobie podporządkować miejscową dzieciarnię, ale im się to nie udawało.

W parterowej oficynie mieszkała rodzina Horzelów. Bezrobotny, bardzo miły pan Horzela hodował kury i króliki. Miał troje dzieci. Wraz z nimi i innymi dziećmi chodziłam z bańką po grochówkę do wojskowych koszar lub do rzeźnika po tzw. „kottówkę”. Moja rodzina nie należała do biednych i nie musiała korzystać z dożywiania, ale dziecięca ciekawość i solidarność zwyciężała ! Skoro inni chodzili – mogłam i ja! Nie chodziłam natomiast na podwórze żorskiego Magistratu, gdzie wydawano zupy dla biednych...”

W marcu 1945 roku dom Heiligów został zniszczony.

Dom Kroczków

Był to piętrowy budynek, którego właścicielem był budowniczy Ludwik Kroczek. Mieszkał wraz z żoną i trzema córkami na parterze, po prawej stronie domu. Po lewej stronie mieszkała rodzina Solichów, a za nimi Marta Kłapczyk z matką. Były to niezamężna siostra pani Kroczek i jej matka. Marta miała w tym domu swoją maglownicę, która była jej środkiem utrzymania. Brat i syn tych pań, Józef Kłapczyk, był znanym w Żorach działaczem społecznym i sportowym, założycielem ogródków działkowych. Niemcy aresztowali go w 1940 roku. Uznali go za „niebezpiecznego Polaka” i uwięzili w obozie koncentracyjnym w Dachau, a potem w Oranienburgu, gdzie zmarł w 1941 roku. W oficynie na posesji państwa Kroczków mieszkała pani Hałacz.

Najstarsza córka Ludwika Krocza, Stefania, w 1942 roku wyszła za mąż za pilota służącego przed wojną w II Pułku Lotniczym „Kraków”, pana Szyndzielorza. Młodsza córka Teresa po wojnie poślubiła pana Dastyka, a najmłodsza Janina – pana Filaka.

Pierwsze piętro budynku wynajmowała rodzina emerytowanego sędziego Wojciechowskiego, który został w okresie międzywojennym żorskim adwokatem. Po nim funkcję tę objął jego syn Józef. Drugi syn, Marian, został ekonomistą. Trzeci syn został prawnikiem i po wojnie osiedlił się na ziemiach zachodnich.

Tak wspomina tę rodzinę pani Irena:

„...Rodzina ta pochodziła ze Lwowa. Państwo Wojciechowscy byli serdecznymi przyjaciółmi moich rodziców. Nie wiem, co stało się z państwem Wojciechowskimi po wybuchu wojny. Ich syn Józef, który był adwokatem, prawdopodobnie dostał się do niemieckiej niewoli i przebywał w oślagu. Po wojnie wyemigrował do Australii i tam został właścicielem polskiej gazety. Drugi syn – Marian – był z wykształcenia ekonomistą, a z zamiłowania sportowcem i świetnym tenisistą. Kort tenisowy znajdował się za boiskiem „Sokolni” stojącej za parkiem, przy ulicy Rybnickiej. Tam często biegałam, by zbierać i podawać piłki grającym. Moim ulubionym tenisistą był właśnie pan Marian, który był przyjacielem mojego ojca. Przez całą okupację pozostał on w Żorach. Pracował u swojej teściowej pani Brychowej na roli i w stajni, jako zwykły robotnik. Pracował również w rozlewni piwa. Jeszcze w czasie działań wojennych w 1945 roku był przez mieszkańców miasta typowany

na przyszłego burmistrza Żor. Zginął 1 marca 1945 roku w Borkach (między Warszawicami a Studzionką) przy kopaniu okopów. Pozostawił żonę Liliannę z dwoma małymi synami. Lili Wojciechowska zaraz po wojnie wyjechała z Polski do Niemiec, gdzie w oflagach poszukiwała swojego szwagra Józefa Wojciechowskiego. Nie wiedziała wówczas o tym, że wcześniej opuścił on oflag i wyemigrował do Australii. Wyszła ponownie za mąż za polskiego oficera Tobołę, pochodzącego z Krakowa i wraz z nim wyjechała do Francji. Tam pozostała do końca swego życia. Jej synowie z pierwszego małżeństwa to lekarz i profesor matematyki, a syn z drugiego małżeństwa to rehabilitant...”

W marcu 1945 roku dom Ludwika Krocza został całkowicie zniszczony.

Dom Bryszów

Wyróżniające się oryginalną architekturą kamienice Bryszów i Kulasów



Piętrowy budynek był przed wojną własnością pana Brysza, który pochodził z rodziny bogatych handlarzy zbożem, słomą i sianem. Ich własnością była również część magazynów znajdujących się przy ówczesnej ulicy Nerlicha (obecnie Męczenników

Oświęcimskich). Gdy w 1922 roku Żory wróciły do Polski i zostały przejęte przez polską administrację, utworzono w mieście siedzibę garnizonu Wojska Polskiego. Wówczas rodzina Bryszów odsprzedała swoje magazyny przy ul. Nerlicha. Wojsko urządziło tam stajnie dla koni, magazyny broni i paszy, a plac wykorzystywano jako teren ćwiczeń dla trzech baterii 23 pułku artylerii lekkiej. W XIX wieku ten teren był zapleczem jednostki dragonów wojska pruskiego. W czasie okupacji Niemcy wykorzystali ten teren na obóz „Polenlager 95”. Obóz ten istniał w Żorach w latach 1942-1945. Niemcy więzili w nim ludność polską wysiedloną z powiatów bielskiego, żywieckiego, wadowickiego i z Zagłębia Dąbrowskiego.

Największą, niespotykaną w innych żorskich kamienicach ozdobą piętrowego

budynku Bryszów przy ulicy Drzewnej był, bez wątpienia, wykusz z kopulastą wieżyczką zakończoną iglicą. Wieżyczka z iglicą górowały nad dachami pobliskich domów.

Pan Brysz z żoną i córkami Hildegardą i Zelmą mieszkali w oficynie, na zapleczu restauracji.

Na piętrze reprezentacyjnego budynku przy ulicy Drzewnej mieszkał z żoną i synem pan Pawlik.

Na parterze właściciele domu mieli wykwintną restaurację, a obok był kolejny sklep z obuwem, prowadzony przez szewca Adolfa Buchmana. Mieszkał on wraz z rodziną w jednoizbowym mieszkaniu za sklepem.

Restauracja państwa Bryszów miała niewielu, za to stałych klientów. Właśnie z restauracją związane jest jedno ze wspomnień pani Ireny:

„...Pewnego razu Hildegarda Brysz, moja rówieśniczka, zaprosiła mnie do restauracji swojego ojca na małe piwo z sokiem pomarańczowym. Na szczęście rodzice nie zauważyli, że piłam piwo. Ale to wydarzenie, a szczególnie niepowtarzalny smak tego piwa, pamiętam do dziś...”

Na posesji restauratora Brysza ciągnącej się aż do ul. Garncarskiej stał piętrowy budynek, w którym mieszkała rodzina Gąsiorów.

W marcu 1945 roku dom państwa Bryszów został zniszczony.

Dom Kulasów

Był to piętrowy, najładniejszy architektonicznie na tej ulicy budynek, którego dach zwieńczała ozdobna attyka. Przed wojną właścicielem parceli i domu był Reinhold Kulas, który handlował meblami. Wraz z rodziną mieszkał na piętrze. Miał dwóch synów, ale jeden z nich, Reinhold, zmarł w czasie okupacji na skutek ran wojennych. Drugi syn, Karol, został stolarzem i po śmierci rodziców prowadził do 1945 roku sklep meblowy w rodzinnym domu.

Na parterze budynku były dwa duże sklepy meblowe, mając ogromne okna wystawowe sięgające chodnika. Drewniana brama wejściowa miała ozdobne metalowe okucia, a okienko w drzwiach wejściowych metalową okiennicę.

Z balkonu na piętrze przez całe lato zwisały kwiaty, będące dodatkową ozdobą kamienicy.

W podwórzu posesji stała oficyna i inne zabudowania będące magazynami mebli. W oficynie po lewej stronie mieszkała pielęgniarka pani Gepard. Była wdową po lekarzu podróżniku, którego poznała w Afryce, pracując jako pielęgniarka w Kongo.

Na posesji Kulasów tuż przy ulicy Garncarskiej stał piętrowy budynek z wysoką bramą przejazdową. Na parterze tego budynku były magazyny meblowe, a na piętrze mieszkania.

Mieszkało tam kilka rodzin, między innymi: Rusinowie, Neumanowie, Drzyzgowie i, w czasie okupacji, Kasprzakowie. W podwórzu mieszkali też państwo Kusiów, zajmując z trójką dzieci jeden pokój z bezpośrednim wejściem z podwórka. W pokoju nie było nawet wody, a ubikacja znajdowała się na podwórku.

Pani Irena wspomina:

„...Z córką państwa Kusiów przyjaźniłam się przez całe jej życie. Jej matka przed wojną prała u nas bieliznę, gdyż wówczas nie było jeszcze pralek. Tak zarabiała na życie, bo pan Kuś był bezrobotny i żyło im się w Żorach bardzo ciężko...”

Rodzina Kusiów z dziećmi Blanką, Eugeniuszem i Egonem wyemigrowała z Żor do Orłowej. Wyjechali w 1938 roku przed inwazją Niemiec na Czechy i Słowację. W Orłowej pan Kuś dostał pracę w kopalni węgla jako górnik.

*Budynek rodziny Kulasów.
Na zdjęciu właściciele
i personel sklepowy*



Pani Irena wspomina:

„....Do państwa Kusiów do Orłowej jeździłam na wakacje. Uczestniczyłam wówczas w mszach świętych, które odprawiane tam były w języku polskim. Było tam wielu Polaków i nie było zakazu używania języka polskiego...”

Drzyzgowie, którzy również mieszkali na posesji Kulasów, mieli syna i córkę.

Na podwórzu posesji Kulasów stała tzw. „rolwaga”, czyli platforma do przewozu mebli. Dla miejscowej dzieciarni stała się ulubionym miejscem zabaw, które p. Irena wspomina następująco:

„....Na rolwadze urządzaliśmy przedstawienia teatryku kukielkowego dla dzieci z naszej ulicy. Moim dziełem była scenografia i kukielki własnoręcznie przeze mnie wykonane. W oficynie, obok mieszkania pani Gepard, była pralnia dla lokatorów tej posesji. W niej kilku chłopców (którzy mieli wówczas po 13 - 14 lat) wyświetlało bajki na przeżroczach dla dzieci z naszej ulicy. Nie robili tego bezinteresownie, bo kazali sobie płacić po 5 groszy za seans. Jak pamiętam, bajki wyświetlali: Holdek Kulas, Bolek Kuś, Józek Zegrocki i najmłodszy syn państwa Hanslików (obaj ostatni mieszkali na Rynku). Na podwórku państwa Kulasów odbywały się też zawody w strzelaniu z własnoręcznie zrobionych łuków...”

Tutaj również grano w tzw. „bojtę” – bardzo popularną wówczas grę w pieniądze. Wystarczyło kilku graczy, ale każdy z nich musiał mieć choć kilka własnych monet. W zaznaczonym miejscu (np. obrysowanym kółeczkiem) ustawiało się słupek monet. Potem z ustalonej odległości gracze celowali swoimi monetami w ten słupek. Należało tak uderzyć, by monety ze słupka upadły reszką na ziemię. Te, które właśnie tak upadły, przechodziły na własność rzucającego, a jednocześnie dawały mu prawo rozpoczęcia następnej kolejki.

„Bojta” miała wiele odmian, bowiem prawie każde podwórko ustalało własne reguły gry. O swoich przeżyciach z tą grą tak wspomina pani Irena:

„....Nie chciałam być gorsza od innych i stać na uboczu, w tajemnicy więc przed rodzicami wynosiłam z domu stare monety ze zbiorów numizmatycznych mojego ojca. Rzecz jasna, nie znałam ich wartości, ale gdy sprawa brakujących monet

w zbiorach ojca wyszła na jaw, można się domyślić, jakie poniosłam konsekwencje!...”

Dom państwa Kulasów w marcu 1945 roku został zniszczony działaniami wojennymi. Właściciel przeniósł się z rodziną do Pszczyny.

Dom Ludwигów

Był to parterowy dom kryty dachówką, z jedną szeroką sienią pośrodku. Dom miał dwa sklepy z wejściami od ulicy, które prowadzili dwaj bracia Ludwигowie.

Starszy z braci, Ignacy, mieszkał wraz z matką i był właścicielem mniejszego sklepu, w którym handlował glinianymi garnkami, tzw. „bunclokami” oraz mydłem „Schnicht” i „Jeleń”. Zeschnięte mydła leżały zawsze w tym samym miejscu i na tej samej półce. Natomiast ciekawostką było to, że w jego sklepie stało mnóstwo klatek z papużkami.

We wspomnieniach pani Ireny Ignacy Ludwиг był pierwszym posiadaczem radia na ulicy Drzewnej.

„... W latach 1934-36 pan Ignacy był prawdopodobnie jedynym posiadaczem radia na naszej ulicy. Gdy przez radio przemawiał swoim krzykliwym bełkotem niemiecki kanclerz Adolf Hitler, pan Ignacy kazał wszystkim dzieciom zwoływać rodziców i sąsiadów do swojego sklepu. Tam już stały przygotowane krzesła dla ewentualnych słuchaczy i to nie tylko Niemców! Pan Ignacy był żorskim radnym reprezentującym tutejszą mniejszość niemiecką...”

Drugi z braci, ślusarz Aleksander, zajmował drugi sklep, w którym sprzedawał rowery i części zamienne do nich. Sam był zapalonym cyklistą i myśliwym. Należał również do Strzeleckiego Bractwa Kurkowego w Żorach, w którym w 1927 roku został królem kurkowym, a w 1940 roku wybrano go strażnikiem strzelania.

Od strony ul. Garncarskiej na tej posesji stały magazyny, w których p. Aleksander Ludwиг gromadził rowery i części zamienne przeznaczone do handlu.

Bracia Ludwигowie wraz z rodzinami opuścili Żory w 1945 roku, a w marcu tego samego roku ich dom uległ zniszczeniom wojennym.

Rosjanie dopełnili zniszczeń, paląc wśród ruin ogniska.

Dom Gettlerów

Parterowy budynek mieszkalny stał się własnością rzeźnika Gettlera i jego żony Gertrudy z domu Spika prawdopodobnie po 1922 roku. Wcześniej posesja należała do rodziny Goriwodów. Gettlerowie mieli tylko jedną córkę, Hildegardę.

Jak wspomina pani Irena:

„...Przed wojną Hildegarda była niezwykle elegancką i modnie ubraną dziewczyną. Ponieważ jej rodzice byli bardzo zamożnymi ludźmi, nosiła stroje uszyte z jedwabiu, szyfonów i krepy sprowadzanych prosto z Paryża. Budziło to podziw i zazdrość jej rówieśniczek...”

Właściciel miał w domu swój sklep mięsny. W podwórzu tej posesji ciągnącej się aż do ulicy Garncarskiej znajdowała się obora, stajnia dla koni, chlewnia i ubojnia. Stały tam też wozy, a tuż przy ulicy Garncarskiej był parterowy budynek mieszkalny z szeroką sienią i dużą bramą wjazdową.

Ten dom pani Irena wspomina z goryczą:

„...Dzieci omijały tę posesję z daleka wyczuwając, że właściciel nie lubił dzieci i ich zabaw. Dawał temu wyraz, przeganiając je biczem ze swojego podwórka...”

W marcu 1945 roku dom Gettlerów przy ulicy Drzewnej został zburzony. Ocalał parterowy budynek stojący przy ulicy Garncarskiej.

Dom Kuberków

Piętrowy dom był własnością piekarza Józefa Kuberka, który w 1932 roku był działaczem Wolnego Cechu Piekarzy w Żorach. Na parterze budynku znajdował się pokój przylegający do sklepu piekarniczego. Po wschodniej stronie domu była przejściowa sień wiodąca na podwórko, gdzie w oficynie stał węglowy piec piekarniczy. Pani Irena wspomina:

„...Zanosiliśmy tam w wiklinowych koszykach własne ciasto chlebowe, wyrobione z żytniej mąki. Opłata za wypieczenie naszych chlebów była niewielka. Kiedy miałam 12 lat, a było to w okresie okupacji, matka pozwoliła mi „zarobić” ciasto na chleb. Należało mieć „nociastek”, czyli kwas, żytnią mąkę, „kapolkę”, czyli serwatkę, sól i zmielone, ugotowane ziemniaki, które dodawano po to, ażeby ciasta było więcej. Byłam bardzo dumna z własnej pracy, bo choć robiłam to po raz pierwszy, to chleb był smaczny. Pan Kuberek postarał się, żeby mój chleb był dobrze wypieczony...”

Rodzina piekarza Kuberka to żona Maria (z domu Unruh) i dwoje dzieci: starsza córka Hildegarda i młodszy syn Bernhard, który wprawdzie był opóźniony umysłowo, ale miał „wielkie serce” i był lubiany przez dzieci. Pani Irena wspomina:

„...Bernharda naciągaliśmy na ciastka, tzw. „kichle”, które przynosił nam z piekarni swojego ojca. W ich sklepie kupowaliśmy czasami chleb, bułki i rogalę, ale najczęściej te wypieki, z których słynął pan Kuberek. Były to ciastka anyżowe, kademołki, czyli niewielkie placuszki ciasta z kardamonem, no i słynny wieniec makowy z posypką...”

Pan Kuberek jak każdy piekarz miał swoje tajemnice pieczenia ciast, którymi różnił się od innych piekarzy. Inni rzemieślnicy też mieli swoje specjalne wyroby, których tajemnic produkcji strzegli jak oka w głowie. Ani piekarze, ani rzeźnicy nie ujawniali innym swoich receptur, więc może dlatego nie bali się konkurencji i mogli spokojnie egzystować obok siebie.

Inne, mniej przyjemne wspomnienia pani Ireny dotyczą zakupu chleba w sklepie Kuberków w pamiętne dni:

„...31 sierpnia 1939 roku matka posłała mnie do sklepu pana Kuberka po pół chleba. Piekarka zawinęła chleb w niemiecką gazetę „Sohrauer Stadtblatt”. Nie odebrałam tego chleba i poprosiłam o zapakowanie go w biały papier, co zresztą niezbyt chętnie uczyniła. Następnego dnia ponownie poszłam po chleb, ale w tym dniu w naszym mieście byli już niemieccy żołnierze, bo zaczęła się przecież wojna. Sprzedająca z satysfakcją powiedziała mi, że teraz będę jadła niemiecki chleb. Nie zastanawiając się, szybko odpowiedziałam, że będzie on jeszcze z polskiej mąki. Na szczęście nie zrobiła z tego użytku, ale sympatią nas już nie darzyła...”

Na posesji państwa Kuberków, tuż przy ul. Garncarskiej, stał parterowy dom, w którym mieszkała ułomna pani Sofia Siedlaczek. Wśród mieszkańców miasta znana była z tego, że zarabiała na życie, prasując męskie koszule. A trzeba wiedzieć, że prasowanie wykrochmalonych („wyszkrobionych”) koszul było nie lada sztuką!

Na początku 1945 roku rodzina Kuberków wyprowadziła się do Niemiec, a w marcu tego samego roku dom częściowo uległ zniszczeniom wojennym, ale nadawał się do zamieszkania.

Dom Piecuchów

Piętrowy dom, który przed wojną miał numer 10, należał od kilku pokoleń do rodziny Piecuchów. Z tego rodu wywodziła się matka pani Ireny – autorki wspomnień o przedwojennych Żorach.

Przodkowie Piecuchów przywędrowali na Śląsk z gór Świętokrzyskich i tutaj osiedlili się. Dziadek Augustyn poślubił Joannę (z domu Tyrtania) i w tym domu wychowali oboje czworo dzieci. Przez całe życie był kupcem, a z zamiłowania muzykiem. Najstarszy syn Rufin ożenił się ze szczecinianką i po I wojnie światowej pozostał poza granicami Polski.

Córka Gertruda wyszła za mąż za nauczyciela Maksymiliana Apostoła i zamieszkała w domu państwa Unruhów na żorskim Rynku.

Córka Helena poślubiła w 1924 roku urzędnika żorskiego Magistratu Franciszka Smusza z Kleszczowa. Początkowo zamiesz-

*Dom rodziny
Ireny Twardzik.
Na zdjęciu wuj Augustyn
Piecuch przed swoim
sklepem.*



kała z mężem w tzw. „urzędniczym budynku” na ulicy Pszczyńskiej, ale od 1930 roku wraz z mężem i córkami Lidią i Ireną przeniosła się do oficyny w rodzinnym domu przy ulicy Drzewnej. Franciszek Smusz zmarł 25 stycznia 1937 roku, o czym wspomniano wcześniej.

Pani Irena wspomina:

„...Gdy zmarł ojciec, matka została sama z dwiema małymi córkami. Jedna z nas miała osiem, a druga dziesięć lat. Znacznie pogorszyły się nasze warunki materialne i dlatego matka postanowiła wynająć dwa pokoje w naszym domu weterynarzowi dr. Łukaszowi Kulczyckiemu. Mieszkał on poprzednio w „Hotelu Polskim” pana Szwarca na Rynku. Ponieważ do jego obowiązków należało badanie mięsa z uboju,

czeladnicy żorskich rzeźników przynosili do niego próbki mięsa do badań. Nie odpowiadało to hotelarzowi, gdyż czeladnicy, chodzący w drewnianych pantoflach, brudzili pluszowe chodniki w hotelu. Z tego powodu wymówił najem weterynarzowi.

Dr Łukasz Kulczycki w czasie pobytu w naszym domu pracował nad swoim drugim doktoratem. Ukończył studia na Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie, gdzie uzyskał dyplom lekarza weterynarii a następnie doktora medycyny weterynaryjnej. Był bardzo odpowiedzialnym weterynarzem, zamierzał uporządkować stan sanitarny w prywatnych rzeźniach, których było tu wówczas chyba dziesięć.

W czasie jednej z kontroli swojej gorliwości w wypełnianiu obowiązków o mało co nie przyplacił kalectwem lub utratą życia, kiedy został zaatakowany przez rozsierdzonego rzeźnika. Na szczęście czeladnik masarski wytrącił napastnikowi nóż z ręki. Mimo tego incydentu doktor Łukasz Kulczycki mile wspomina nasze miasto. Opuścił je 30 sierpnia 1939 roku, wezwany do swojej jednostki wojskowej w Warszawie. Dopiero po 27 latach ponownie odwiedził Żory. Wówczas dowiedziałam się, że w 1941 roku, jako wojskowy tułacz wojenny, osiadł w Edynburgu w Wielkiej Brytanii, gdzie ukończył studia lekarskie na polskim wydziale lekarskim w Polish Medical School.

W czasie praktyki medycznej w Archway Group Hospitals w Londynie zrobił specjalizację w internie ogólnej i pediatrii. W następnych latach pracował w Kanadzie, a potem w USA w Bostonie.

Podyplomowe studia w dziedzinie pediatrii ukończył w Harvard Medical School, a po pomyślnie zdanym egzaminie został dyplomowanym pediatrą. Podjął wówczas badania nad mukowiscydozą.

W 1962 roku objął stanowisko docenta pediatrii w Georgetown Medical School i dyrektora Ośrodka Mukowiscydozy w Childrens Hospital. W 1976 roku Georgetown University nadał mu tytuł profesora pediatrii i powołał go na stanowisko dyrektora Georgetown University Cystic Fibros Center, które pełni po dziś dzień.



Prof. Łukasz Kulczycki

Współpracuje z uczelniami, instytutami i szpitalami pediatrycznymi w Polsce i na całym świecie. Chociaż od ponad 50 lat mieszka w USA, sercem nadal jest w Polsce.

Najmłodszy syn dziadka – Augustyn – odziedziczył po ojcu sklep z materiałami ubraniowymi, pościelowymi, pasmante-rią i gotowymi ubraniami i bielizną. Odziedziczył również po ojcu zamiłowanie do muzyki. To właśnie on został we wrześniu 1939 roku aresztowany przez Niemców. Wraz z innymi, szanowanymi mieszkańcami miasta znalazł się na liście zakładników, którzy mieli zostać rozstrzelani w wypadku antyniemieckich wystąpień w Żorach. Po uwolnieniu wypro-wadził się do Katowic, gdzie nadal handlował towarami tej samej branży.

W 1945 roku, po wkroczeniu wojsk radzieckich do Katowic, ponownie został aresztowany. Tym razem przez Rosjan. Powodem jego aresztowania było posiadanie sklepu w czasie okupacji i dowody na piśmie, że udzielał materialnej pomocy Polakom, którzy ukrywali się w okresie okupacji w klasztorze w Panewnikach. Tym razem polskie władze wojskowe osadziły go w więzieniu w Mysłowicach. Zmarł tam w kwietniu 1945 roku z wycieńczenia i zagłodzenia...”

Wspominając życie w rodzinnym domu w czasie okupacji, pani Irena tak opowiada:

„...W czasie okupacji finansowo i materialnie pomagał mojej matce wuj Augustyn. Ponadto pomagała nam również organizacja podziemna. Ktoś często kładł pod drzwiami bochenek chleba, a co miesiąc do skrzynki na listy wrzucał pieniądze, które pozwalały nam przeżyć. Nigdy nie słyszałyśmy na schodach kroków osoby, która nas wspomagała. Widać ten ktoś nie chciał być rozpoznany. Nigdy nie dowiedziałam się, dzięki komu mogłyśmy, jako beznarodowościowcy, przeżyć kolejne dni i miesiące okupacji.

Nasz dom oraz dom państwa Kasprowskich zostały przejęte w czasie okupacji przez władze niemieckie i wpisane do Ksiąg Wieczystych jako własność Państwa Niemieckiego. W byłym sklepie naszego domu Niemcy urządzili przychodnię lekarską dla matki i dziecka...”

W marcu 1945 roku frontowy dom rodziny Piecuchów-Smieszów został całkowicie zniszczony, natomiast ocalała duża oficyna.

Dom Durynków

Ten parterowy budynek był jakby wtłoczony w ziemię. Do sklepu z nabiałem, który mieścił się w tym domu, schodziło się w dół po stopniach. Właścicielami domu byli państwo Durynkowie: Jerzy i Jadwiga (z domu Arndt). Mieli dwoje dzieci: syna Jorga i córkę Heidel.

W 1938 roku właściciele rozebrali parterowy dom i w tym samym miejscu wybudowali okazały, dwupiętrowy budynek. Pan Durynek był z zawodu elektrykiem i w czasie okupacji hitlerowskiej został mianowany kierownikiem elektrowni. Często przy okazji świąt państwowych chodził w żółtym mundurze ze swastyką. Pełnił również funkcję Blockleitiera, czyli kierownika kwartału mieszkaniowego, któremu podlegała między innymi ulica Drzewna. Taką funkcję mógł wówczas pełnić tylko ktoś zaufany (np. członek NSDAP), który mógł służyć Niemcom informacjami o mieszkańcach danej ulicy.

Z posesją Durynków związane jest zabawne wspomnienie pani Ireny:

„...Kiedyś przed wojną, chyba w 1938 roku, pan Durynek kazał wybudować w granicy naszej posesji, w odległości około 2,5 m od naszej sypialni, murowany dół kloaczny z wygodką. Ponieważ płot dzielący nasze podwórka był gęsto zbity z desek, niczego nie mogłam przez niego zobaczyć. Ogromnie ciekawa byłam tego, co dzieje się po drugiej stronie. Wdrapałam się na ten płot, a ponieważ był już mocno spróchniały, razem z całym przęsłem runęłam do kloaczno-go dołu wprost na plecy murarza. Oczywiście w domu było solidne lanie, a ja byłam przerażona i przekonana, że zabiłam murarza. Potem dowiedziałam się, że nic mu się nie stało...”

W czasie okupacji żona pana Durynka nadal prowadziła we własnym domu sklep z nabiałem. Drugie pomieszczenie sklepowe wraz z mieszkaniem wynajął u Durynków pan Matera, który handlował tam obuwem. Państwo Materowie mieli trzy córki: Jadwigę, Elfrydę, która poślubiła pana Zimończyka oraz Helenę, która wyszła za mąż za pana Szczypkę.

Na drugim piętrze w domu Durynków mieszkało małżeństwo Kachlów z synem. Pan Kachel pracował wraz z panem Gwoździkiem w Miejskiej Kasie Komunalnej. Obydwaj podlegali służbowo ojcu pani Ireny – Franciszkowi Smuszowi.

Pani Kachel pochodziła z rodziny zorskiego rzeźnika, pana Górnika z ulicy Szeptyckiego. Była piękną kobietą i miała

wspaniały głos. W czasie wojny pracowała w kasie kina. W styczniu 1945 roku cała rodzina wyjechała z Żor.

Durynkowie również w styczniu 1945 roku opuścili Żory i wyjechali do Łodzi. Ich dom w marcu 1945 roku ocalał od zniszczeń wojennych.

Dom Spików

Był to parterowy dom kryty dachówką. Właścicielem domu była rodzina Spików, w której urodziły się cztery córki. Przed wojną dwie z nich były już zamężne. Jedna poślubiła pana Sobika z Rownia, a druga pana Getlera i zamieszkała również na ulicy Drzewnej. Dwie pozostałe córki Spików pozostały pannami.

W ich domu był sklep, w którym panie Spika sprzedawały bieliznę i gotowe ubrania damskie i dziecięce. Na tyłach ich posesji była krótka oficyna, obora i chlewnia. Siostry Spika miały gospodarstwo rolne, które wraz ze sklepem było ich podstawowym źródłem utrzymania.

W marcu 1945 roku ich dom przy ulicy Drzewnej został częściowo zbombardowany. Zachowała się oficyna przylegająca do frontowego budynku przy ulicy Drzewnej.

Dom Solorzów

Parterowy dom od pokoleń należał do rodziny Solorzów. Na początku XX wieku był własnością mistrza rzeźnickiego Aleksandra Solorza, który w 1932 roku wybrany został honorowym mistrzem Izby Rzemieślniczej w Katowicach. Wraz z żoną prowadził w swoim domu sklep mięsny z własnego uboju. Posiadał również gospodarstwo rolne.

Pani Irena wspomina:

„...Zawsze w piątek w sklepie pana Solorza można było kupić ich specjalność – ciepłą jeszcze kielbasę śląską. Pamiętam, jak płakałam z żalu, że siostra nie pozwalała mi jeść tej pachnącej kielbasy w piątek, będący u nas dniem postnym...”

Państwo Solorzowie mieli troje dzieci: syna Emanuela i dwie córki. Jadwiga poślubiła pana Adamka, a Franciszka pana Blazego i wyprowadziła się do Wodzisławia. Spadkobiercą ojca został Emanuel, który jak ojciec też był rzeźnikiem. On również miał troje dzieci. Najstarszy Józef zginął w czasie wojny, mając zaledwie 20 lat. Córka Maria poślubiła pana Ćwięczka, a Krystyna pana Wawrzyczka.

W marcu 1945 roku ich dom uległ zniszczeniu.

Dom Mikołajców

Był to ostatni dom prawej strony ulicy Drzewnej (patrząc od Rynku). Wcześniej stał w tym miejscu parterowy dom będący własnością rodziny Bolczyków.

Jednopiętrowy przed wojną budynek stał na rogu: na skrzyżowaniu ulicy Rybnickiej (dziś księdza Klimka) i Drzewnej. Na parterze mieścił się duży sklep, do którego wejście umiejscowiono w rogu budynku. Sklep miał dwa duże okna wystawowe, zabezpieczone od zewnątrz metalowymi drążkami, wykorzystywanymi przez dzieci do ćwiczeń gimnastycznych.

Pani Irena wspomina:

„...Okna wystawowe sklepu państwa Mikołajców zabezpieczone były odstającymi od muru na około 30 centymetrów metalowymi drążkami. Miały zabezpieczyć szyby przed ewentualnym stłuczeniem. Dla nas, wówczas dzieci, były to wsporniki przyrządy do ćwiczeń gimnastycznych i często tam ćwiczyliśmy przeróżne akrobatyczne układy. Właściciele, obawiając się o szyby, ciągle nas przepędzali...”

Sklep miał charakter wielobranżowy. Oprócz artykułów spożywczych można tam było kupić porcelanę, metalowe i gliniane garnki, narzędzia ślusarskie, ogrodnicze i rolnicze, a nawet materiały budowlane i nawozy sztuczne. Te ostatnie magazynowano w starych, chyba dwustuletnich parterowych budynkach ciągnących się wzdłuż ulicy Rybnickiej. Reszta magazynów stała po drugiej stronie ulicy Garncarskiej, wzdłuż ulicy Rybnickiej i sięgała do piętrowego budynku szkoły powszechnej.

*Kamienica Mikołajców
na Rynku u zbiegu ulicy
Drzewnej i Rybnickiej*



Właścicielem domu i sklepu był Franciszek Mikołajec, natomiast w tym domu mieściło się również biuro projektowo – budowlane jego brata Józefa. Był on znanym i szanowanym właścicielem firmy budowlanej, która tuż przed wojną wybudowała, między innymi, Gimnazjum im. Karola Miarki przy

ulicy Powstańców. W 1937 roku firma oddała do użytku jednopiętrowe skrzydło wraz z aulą, a w 1938 roku drugie, dwupiętrowe.

W firmie pana Mikołajca pracowali między innymi pan Kuczera z Osin i pan Żur.

Obydwaj bracia Mikołajcowie byli członkami Kurkowego Bractwa Strzeleckiego w Żorach. Franciszek kilkakrotnie zdobywał tytuł marszałka prawego lub lewego, a Józef aż dwukrotnie sięgnął po najwyższy zaszczyt: w 1930 i 1939 roku został królem kurkowym Bractwa.

W marcu 1945 roku dom Mikołajców został częściowo zniszczony.

Posesje stojące po prawej stronie ulicy Drzewnej ciągnęły się aż do ulicy Garncarskiej. Fronty domów skierowane na ulicę Drzewną miały reprezentacyjne wejścia, bogate sklepy, warsztaty i restauracje. Były świadectwem zamożności właścicieli.

Codziennie życie toczyło się na podwórkach, gdzie stały pomieszczenia gospodarcze. Na posesje wjeżdżano od ulicy Garncarskiej, tędy wypędzano na pastwiska krowy czy konie. Ulica Garncarska była również miejscem zabaw miejscowych dzieci.

*Personel sklepu
Franciszka Mikołajca*



GARNCARSKA

Ulica Garncarska

Nazwa tej ulicy bez wątpienia zrodziła się w najwcześniejszych wiekach historii naszego miasta. Na pewno związana jest z garncarstwem. O tym, że mieszkali tu garncarze, świadczą wykopaliska, które znajdowano w ziemi w czasie robót budowlanych czy kanalizacyjnych. Znalezione tu duże ilości wypalonych glinianych skorup różnych naczyń, których używali nasi przodkowie.

Kilkakrotnie wymienia tę ulicę autor pierwszej historii Żor – ksiądz Augustyn Weltzel. Za każdym razem podaje jej nazwę i nigdy nazwa tej ulicy nie została zmieniona. Tak więc możemy być pewni, że nazwa ulicy „Garncarska”, tak jak miasto, ma kilkaset lat.

*Ulica Garncarska
Widok kościoła
od strony prezbiterium*



Przed II wojną światową ulica Garncarska była już od wielu lat wybrukowana tzw. kocimi łbami. Była wyboista i dziurawa, z dużymi ubytkami bruku.

Właściciele posesji stojących frontem do ulicy Drzewnej, wjazdy na swoje podwórka mieli po lewej stronie ulicy Garncarskiej (patrząc od ul. Rybnickiej). W podwórkach mieli obory, chlewnie, stajnie i inne pomieszczenia gospodarskie. Na ulicy Garncarskiej nagminnie stawiali wozy, którymi przywozili z pól zboże, słomę, siano, ziemniaki i inne produkty.

Prawie każdy właściciel posesji przy ulicy Drzewnej oprócz wyuczonego zawodu posiadał ziemię uprawną, która była dla jego rodziny dodatkowym źródłem utrzymania. Oczywiście, do pracy na roli zatrudniał robotników najemnych.

Na Garncarskiej zawsze było brudno. Ulicę zanieczyszczały konie, krowy i biegające pomiędzy wozami kury, gęsi i kaczki. Dodatkowym utrudnieniem dla mieszkańców był dwustronny ruch kołowy obowiązujący na tej niezbyt szerokiej ulicy. Pani Irena wspomina:

„...Ruch na tej ulicy, zwłaszcza jesienią, był bardzo duży. Ulica była brukowana, wyboista, z ubytkami bruku, rynsztokiem i ściekiem. Z jednej strony zastawiona była wozami pełnymi buraków, kartofli czy siana i to stanowiło dla niektórych właścicieli posesji czy gospodarzy duże utrudnienie. Często więc dochodziło do kłótni i rękoczynów ku uciesze dzieci. Bardzo bałam się koni i kóz, a najbardziej krów, które wyprowadzano, klucząc między stojącymi wozami, na pastwiska za miastem. Od wiosny do późnej jesieni ulica była jednym wielkim placem gospodarskim. Drabiniaste wozy zastawiały wjazdy do posesji, między wozami chodziły kury, gęsi i kaczki, a czasami pełzały żmije zwiezione z trawą lub sianem z przyleśnych łąk...”

Ulica Garncarska.
Widok kościoła
od strony fasady



Stojące przy ulicy domy były najczęściej parterowymi budynkami z dużą sienią pośrodku. Tutaj nie było sklepów, bo mieszkający tu ludzie utrzymywali się najczęściej z pracy na roli. W wynajętych mieszkaniach żyły tu samotne, niezamężne panny i wdowy, które zarabiały na życie piorąc i prasując bieliznę. Krawcowe szyły nie tylko u siebie, ale i w domach klientek. Tu nie było bogactwa – tu była ciężka praca. O mieszkańcach tej ulicy pani Irena wspomina:

„...To była ulica na tyłach posesji zamożnych kupców i rzemieślników z ul. Drzewnej. Niektórzy mieszkańcy ciężko

pracowali na dzierżawionej roli w trosce o byt własnej, często licznej rodziny. Dzieci z biedniejszych domów chodziły boso od wiosny do jesieni. Zimą chodziły w drewnianych trepach, chroniąc nogi wełnianymi pończochami. Często widziałam jedzących suchy chleb.

Latem dzieci chodziły do lasu po jagody, brusznice i grzyby, a nad wodę po raki, sprzedając wszystko po domach. Zarabiały i w ten sposób pomagały rodzicom. Często również wraz z rodzicami znosiły na plecach chrust z lasu na opał. Starsi i silniejsi chłopcy zarabiali, najmując się u bogatszych ludzi do rąbania drewna na zimę.

Po obu stronach ulicy Garncarskiej, na odcinku od ulicy Rybnickiej aż do ulicy Drzewnej, znajdowały się budynki parterowe, z wyjątkiem dwóch budynków piętrowych..."

Mieszkańcy ulicy Garncarskiej

Magazyny Mikołajca

Magazyny Mikołajca, właściciela sklepu mieszczącego się na rogu ulic Drzewnej i Rybnickiej, rozpoczynały ścisłą zabudowę lewej strony ulicy Garncarskiej (patrząc od ulicy Rybnickiej w kierunku Górnego Przedmieścia). Magazyny ciągnęły się wzdłuż ulicy Rybnickiej aż do skrzyżowania z ulicą Garncarską i dalej, aż do budynku szkoły. Pani Irena tak je wspomina:

„...Uciążliwością dla mieszkańców ul. Garncarskiej był magazyn z beczkami smoły, lepiku, ze smarami i chemikaliami. Ulica i chodnik wiecznie były zalane lepłą smolą, nie mówiąc o fetorze, który się unosił w powietrzu...”

Ochronka

Był to parterowy dom przylegający do magazynów Mikołajca, w którym przed wojną była tzw. „ochronka”, czyli rodzaj przedszkola prowadzonego przez zakonnice. Pani Irena tak ją wspomina:

„...Ochronkę prowadziły zakonnice z zakładu sióstr boromeuszek. Niechętnie tam uczęszczałam z uwagi na rygor, którego nie znosiłam. Mam w pamięci ohydne, szare podwórko z drewnianymi ubikacjami dla maluchów. Pamiętam też ciemne, nieprzytulne salki. Po zlikwidowaniu ochronki i przeniesieniu jej do ogródka jordanowskiego w tym budynku

urządzono coś w rodzaju baru mlecznego dla uczniów pobliskiej szkoły powszechnej. W czasie przerwy dzieci mogły tam kupić kubek mleka czy kakao oraz bułkę albo rogalika...

W marcu 1945 roku ten budynek uległ zniszczeniu.

Dom Geislerów

Właścicielem kolejnego parterowego domu był pan Jan Geisler. W tym domu przed wojną mieściła się „fabryczka słodczy” produkowanych przez dwuosobową załogę, czyli rodzinę pana Geislera. Wypiekali oni pierniki, makaroniki i różnego rodzaju słodczy, które sprzedawali na odpustach i jarmarkach. U nich zaopatrywali się również inni jarmarczni handlarze i kupcy.

W marcu 1945 roku ich dom został częściowo zniszczony.

Dom Materów

W parterowym budynku przed wojną zamieszkiwała pani Parczyk z córką, która była krawcową. Druga córka pani Parczyk poślubiła szewca i kupca pana Materę, który przed wojną wynajmował sklep z mieszkaniem początkowo w domu Durynków, a potem Hitscholdów przy ulicy Drzewnej. W marcu 1945 roku rodzinny dom przy ulicy Garncarskiej został częściowo zniszczony i po remoncie zamieszkanym przez rodzinę Materów.

Dom Mandlów

Kolejny parterowy dom był własnością Ludwika i Marty (z domu Michalska) Mandlów. Pan Ludwik zginął w czasie wojny i jego żona wraz z sześciorgiem dzieci utrzymywała się z gospodarstwa oraz hodowli trzody i drobiu. Zaplecze ich domu graniczyło ze szkolnym boiskiem sportowym. Tam mieli pomieszczenia gospodarcze, chlew i oborę.

W marcu 1945 roku ich dom ocalał od zniszczeń wojennych.

Dom Brózdów

Właścicielami domu byli Józef i Katarzyna (z domu Powolna) Brózdowie. W marcu 1945 roku ich dom został zniszczony działaniami wojennymi.

Kiedy po wojnie rozpoczęto budowę szkoły podstawowej przy ulicy Rybnickiej, wykupiono część działek należących do rodzin mieszkających przy ulicy Garncarskiej. Wykupiono część ogrodów od rodzin Geislerów, Materów i Mandlów oraz całą posesję rodziny Brózdów. Wykupione tereny przeznaczono na poszerzenie boiska szkolnego. W zamian państwo Materowie i Brózdowie otrzymali działki przy ulicy Osińskiej.

Dom Ogiermanów

Na dosyć dużej parceli stał dom rodziny Ogiermanów. Państwo Ogiermanowie zakupili ten dom w 1939 roku, na krótko przed wybuchem wojny. Poprzedni właściciel – noszący to samo nazwisko Józef Ogierman – był żorskim pocztylionem. Powozem konnym przewoził pocztę na trasie pomiędzy Żorami a Pszczyną. W mieście znany był z tego, że naprawiał maszyny do szycia. Bywał również częstym gościem w restauracji pana Heiliga na ulicy Drzewnej. Nowi właściciele domu, państwo Ogiermanowie, byli rodziną wielodzietną. Mieli pięcioro własnych dzieci i dwoje z pierwszego małżeństwa pani Anny (z domu Kempna). Pan Ogierman był rzeźnikiem. Rodzina utrzymywała się z gospodarstwa rolnego oraz hodowli trzody i drobiu. Ich posesja ciągnęła się aż pod szkolne boisko sportowe. Tam mieli swoje stajnie, chlewnie i obory.

W marcu 1945 roku ich dom tylko częściowo uległ zniszczeniom wojennym.

Dom Żabków

Był to dom parterowy, ostatni w zwartej zabudowie prawej strony ulicy Garncarskiej. Należał do pana Pawła Żabki.

W marcu 1945 roku dom częściowo ocalał od zniszczeń wojennych.

Dom Kusiów

Osobno stojący, cofnięty od ulicy parterowy dom był własnością państwa Kusiów – Jana i Wiktorii (z domu Smusz). Jan Kuś był maszynistą kolejowym, a jego żona – siostrą ojca pani Ireny. Kusiowie mieli dwóch synów: starszy Jan został księdzem zakonnikiem, a młodszy Bolesław ekonomistą.

W marcu 1945 roku ich dom częściowo ocalał od zniszczeń wojennych.

Ogród Winklera

Ostatnią parcelą prawej strony ulicy był wielki ogród, który wynajmował od państwa Heiligów jeden z braci Winklerów mieszkający na ul. Drzewnej pod nr 1.

Tak ten ogród wspomina p. Irena:
„...Do ogrodu pana Winklera nie mieliśmy ani dostępu, ani wglądu. Był osłonięty od ul. Garncarskiej płotem wykonanym z gęsto nabitych, długich desek...”

GÓRNA

Ulica Górna

*(po wojnie A. Zawadzkiego,
dziś ul. B. Bałdyka)*

*Współczesne zdjęcie
ulicy Bonifacego Bałdyka
od strony Rynku*



Foto: A. Żabka

We wspomnieniach pani Ireny Twardzik są jeszcze informacje dotyczące mieszkańców ulicy Górnej (dziś Bonifacego Bałdyka), która wiedzie od południowo-zachodniego narożnika Rynku do ulicy Drzewnej. Wraz z ulicą Garncarską ulica Górna tworzy kwartał zabudowy będący częścią owalnej, najstarszej części Żor, mieszczącej się w granicach średniowiecznych murów obronnych.

Jej nazwa prawdopodobnie wywodzi się stąd, że ulica ta wiodła z Rynku do górnej bramy żorskich murów obronnych. W czasie okupacji zmieniono jej nazwę na Oberstrasse. Po wojnie, 28 grudnia 1945 r., otrzymała nazwę ul. gen. Aleksandra Zawadzkiego, a 22 marca 1991 r. przemianowano ją na ul. Bonifacego Bałdyka.

Nie była tak reprezentacyjną jak ulica Drzewna, ale również cechowała ją ścisła zabudowa, przecinana wąskimi uliczkami. Stojące tu domy, w większości parterowe, na ogół odbiegały standardem od reprezentacyjnych kamienic z ulicy Drzewnej. Przy tej ulicy nie było pięknych sklepów, były natomiast warsztaty rzemieślnicze, wytwórnia wód mineralnych, piekarnia, cukiernia itp.

O mieszkańcach tej ulicy pani Irena wspomina niewiele. Znała ich mniej, bo od dzieciństwa najbardziej była związana z mieszkańcami ulic Drzewnej i Garncarskiej. Pamięta jednak domy i rodziny mieszkające przed wojną przy ulicy Górnej.

Mieszkańcy ulicy Górnej

(strona prawa – od Rynku)

Dom Mikołajca (Poczta)

Był własnością Franciszka Mikołajca, który kupił ten dom od rodziny żydowskiej. Od czasów pruskich na parterze tego domu zawsze była poczta. W 1945 roku budynek ocalał od bombardowań i 5 kwietnia tego roku ponownie zaczęła tam działać poczta.

Posesja ta dochodziła aż do uliczki łączącej ulicę Górną z ulicą Drzewną (do dziś jest to ulica Bagnista).

Dom Jończyków

Właścicielem domu był Franciszek Jończyk. Przed wojną w tym budynku była restauracja z bilardem, a jej właścicielem był pan Zonek. Restauracja była ulubionym miejscem spotkań handlarzy koni.

W marcu 1945 roku dom został zrównany z ziemią.

Dom Galusów

Właścicielką domu była Emilia Galus (z domu Gładysz). Jej mąż był rzemieślnikiem, który zajmował się ślusarstwem, hydrauliką i kowalstwem. Państwo Galusowie mieli dwie córki.

W marcu 1945 roku ich dom uległ zniszczeniu.

Dom Bimlerów

Właścicielami domu byli przed wojną Fryderyk Augustyn i Jadwiga Bimlerowie. Dom od pokoleń należał do rodziny Bimlerów, którzy byli obuwnikami. Fryderyk, który urodził się w Żorach w 1890 roku, studiował malarstwo w Bawarii. Po I wojnie światowej wrócił do Polski i w Chorzowie uczył w gimnazjum humanistycznym. Malował obrazy i portrety znanych śląskich osobistości oraz, na zlecenie biskupa Illonda, uwiecznił na obrazach 45 kościołów śląskich. W czasie okupacji w obozie koncentracyjnym Auschwitz zginęła jego żona, Żydówka pochodząca z Królewskiej Huty (obecnie Chorzów).

W domu przy ul. Górnej mieszkała przed wojną jego matka z siostrą. Lokatorkami tego domu były też dwie siostry Olszynka. Jedna z nich poślubiła pana Spendla, a druga utrzymywała się z prasowania męskich koszul.

Fryderyk August Bimler wyjechał po wojnie z Polski jako przesiedleńca. W 1958 roku osiadł w Monachium, w którym zyskał wielkie uznanie. Zmarł 2 kwietnia 1966 roku.

Autoportret F.A. Bimlera



Niestety, wiele jego obrazów zaginęło w czasie wojny, ale część jego prac stanowi obecnie kolekcję żorskiego Muzeum.

W marcu 1945 roku jego dom uległ zniszczeniom wojennym.

Dom Kornasów

Właściciel domu Jan Kornas był szewcem. Miał żonę Martę (z domu Kłosek), cztery córki i syna Pawła. Najstarsza córka Maria (po mężu Piontek) odziedziczyła dom rodzinny. Pozostałe córki to Anna (po mężu Herok), Gertruda (po mężu Joniec) i Elżbieta (po mężu Ucichowska).

W marcu 1945 roku dom rodziny Kornasów uległ zniszczeniom wojennym.

Dom Janasów

Właścicielami kolejnego domu byli Augustyn i Anna (z domu Mazur) Janasowie. Byli rodziną wielodzietną, bo urodziło im się pięć córek i trzech synów. Pochodzili z okolic Pszczyny czy Piasku koło Pszczyny. Dom w Żorach przy ul. Górnej kupili od rodziny Ćmoków.

W podwórzu budynku posiadali wytwórnię wód mineralnych. Produkowali lemoniady o różnych smakach: pomarańczowe, cytrynowe, malinowe i inne.

W marcu 1945 roku ich dom został częściowo zniszczony przez działania wojenne.

Dom Forytów

Dom był własnością Pawła i Marty (z domu Gaszka) Forytów. Przed wojną rodzina Forytów sprzedawała posesję bratu pani Forytowej, Karolowi Gaszce. Jego rodzina utrzymywała się z pracy na roli i hodowli krów, świń i drobiu. Ponadto pan Karol Gaszka był z zawodu rzeźnikiem. Państwo Gaszkowie mieli dwoje dzieci. Ich syn Norbert, nazywany Bercikiem, był rolnikiem, a córka Marta wyszła za mąż za pana Tobiasza.

W marcu 1945 roku ich dom uległ zniszczeniu.

Dom państwa Gaszków stał na luku ulicy Górnej krzyżującej się z ulicą Drzewną. Przylegał bezpośrednio do domu pana Walentego Hensela, którego rodzina przedstawiona została wśród mieszkańców ulicy Drzewnej.

(strona lewa ul. Górnej – patrząc od strony Rynku)

Dom Adamków

Pierwszy dom lewej strony ul. Górnej stał na skrzyżowaniu z ulicą Koszarową. Był własnością pani Agnieszki Adamek (z domu Persich), która miała dwie córki.

W tym domu przed wojną był sklep fotograficzny, który prowadził pan Gajda. Potem sklep wynajmował pan Paweł Strzoda z Pałowic, który sprzedawał wyroby cukiernicze. W czasie okupacji najemcą sklepu był pan Adamek. W styczniu 1945 roku wyemigrował do Niemiec.

W marcu 1945 roku dom uległ zniszczeniom wojennym.

Dom Hillów

Właścicielem domu był pan Mikołaj Hilla, który z zawodu był piekarzem. W swoim domu miał piekarnię i cukiernię. Był ojcem trzech synów i dwóch córek. Dwaj synowie poszli w ślady ojca: Józef został piekarzem, a Reinhold cukiernikiem. Trzeci syn został lekarzem i po studiach pozostał na stałe w Krakowie. Córka Irma pomagała ojcu i braciom, sprzedając w sklepie pieczywo i wypieki cukiernicze, z których rodzina Hillów słynęła w całej okolicy. Druga córka wyszła za mąż za dentystę, pana Kieczkę.

Cukiernik Reinhold Hilla przed wybuchem wojny wędrował niemal po całej Europie. Terminował u najznakomitszych cukierników w Wiedniu, w Paryżu i w wielu innych miastach. Terminując skrzętnie swoim szyfrem zapisywał różne receptury, które wykorzystywał w rodzinnej piekarni i cukierni w Żorach.

Pan Mikołaj Hilla dokupił przylegający do jego posesji dom szewca Budzińskiego, w którym po adaptacji urządził nowoczesną cukiernię dla syna. Wyposażona ona była w najnowocześniejsze wówczas maszyny i urządzenia do produkcji ciast. Jednym z pracowników tej nowoczesnej cukierni był pan Ernest Lanuszny.

Cała rodzina Hillów (poza synem, który mieszkał w Krakowie) w styczniu 1945 roku wyemigrowała do Niemiec. W marcu tego samego roku domy, piekarnia i cukiernia uległy zniszczeniu w czasie działań wojennych.

Dom Kubiaków

Pierwszymi właścicielami domu i posesji byli Franciszek i Maria Wieczorkowie. Pan Franciszek był pracownikiem kolei i pracował jako kierownik pociągu. Przybył z Gliwic do Żor wraz z rodziną po powstaniach śląskich, gdy Gliwice zostały włączone do Niemiec.

Państwo Wieczorkowie mieli sześcioro dzieci: dwie córki, Wandę i Annę i czterech synów: Bolesława, Pawła, Idzika i Antka.

Spadkobierczynią i właścicielką domu została Wanda Kubiak (z domu Wieczorek). Poślubiła ogniomistrza Adama Kubiaka, któremu podlegało 25 kowali żorskiego pułku. W podwórzu państwa Kubiaków mieścił się warsztat kowalski, w którym pan Kubiak świadczył również usługi dla mieszkańców. Państwo Kubiakowie mieli troje dzieci: synów Kazimierza i Stanisława oraz córkę Aleksandrę (po mężu Oczadła).

W tym domu przed wojną mieszkała również położna pani Rajchel. Do jej mieszkania wchodziło się od frontu domu. Mieszkanie to powstało po przebudowanym sklepie.

W marcu 1945 roku ich dom częściowo został zniszczony.

Dom Krusberskich

*Rymarz W. Krusberski
ze swoim pracownikiem*



Rodzina Krusberskich przybyła z Czeskich Sudetów do Żor prawdopodobnie przed 1918 rokiem. Wojciech był rymarzem i w podwórzu domu miał swój warsztat. Jego żona Marta (z domu Hallasch) urodziła mu sześcioro dzieci. Najstarszy Albert

zginął w czasie wojny pod Odessą, Jadwiga wyszła za mąż za powstańca śląskiego Izydora Wieczorka, a Elżbieta poślubiła stolarza Jana Benisza i po wojnie oboje wybudowali dom na ojcowiznie – w miejscu, gdzie stał zbombardowany dom Krusberskich.

Urodzona już w Żorach w 1918 roku Helena poślubiła urzędnika państwowego Edwarda Kieczkę. Hildegarda wyemigrowała w 1947 roku z synem do Niemiec, a najmłodszy Reinhold, który był górnikiem, ożenił się z Anną Gajdą.

W marcu 1945 roku dom Krusberskich został zbombardowany.

Dom Kurdów

Właścicielką domu była Maria Kurda, a jej brat – konserwatorem i zarazem sztukatorem. Pracował przeważnie w kościołach, gdzie trudnił się malowaniem i renowacją ołtarzy, rzeźb i ścian. Pani Maria pozostała niezamężną panną. Do końca swego życia nosiła tradycyjny strój śląskiej mieszczyki z końca XIX wieku. Prawdopodobnie, nie mając spadkobierców, przekazała dom i posesję dla ubogich, dlatego tuż po wojnie działkę przejął Zarząd Miejski – Związek Ubogich.

Dom Karczoków

Właścicielami domu byli Józef i Paulina (z domu Klimza) Karczokowie.

Dom Niechojów

Właściciele domu Jan i Józefa (z domu Stokowa) Niechojowie, mieli dwanaścioro dzieci, ale do czasu wybuchu wojny dożyło tylko dziesięcioro (w tym dwie córki). Zajmowali się rolnictwem, a pan Niechoj był również rzeźnikiem. Wraz z żoną prowadził ubojnię i masarnię, a mięso dowoził własną furmanką na targ do Katowic.

Kilkakrotnie w okolicy Łazisk nieznani sprawcy napadali na niego, często był pobity i obrabowany z towaru i pieniędzy. Z czasem starsi synowie jeździli z ojcem, stanowiąc dodatkową ochronę przed bandytami.

W czasie działań wojennych ich parterowy dom przy ulicy Górnej został podpalony. Cała rodzina zamieszkała wówczas w oborze, z której Rosjanie zabrali ostatnią krowę.

Posesja rodziny Niechojów ciągnęła się aż do ulicy Bramkowej. Tam stał drugi dom, w którym przed wojną mieszkał sympatyczny i wesoły pan Horzela. Zajmował się naprawą obuwia, a jego żona prowadziła magiel, dorabiając do zarobków męża. W tym samym budynku mieszkała również rodzina Śliwakowskich.

Dom rodziny Niechojów był ostatnim domem ścisłej zabudowy ulicy Górnej. Obok niego biegła wąska uliczka (dziś ulica Łytkowskiego), która krzyżowała się z ulicą Bramkową i po kilku metrach z ulicą Ogrodową.

Dom Medłów

Kolejny dom, rozpoczynający dalszą ścisłą zabudowę ulicy Górnej, należał do Marii Medłówny. Poślubiła ona pana Fojcika, który zajmował się rolnictwem. Dodatkowo dowoził furmankami węgiel z pobliskich kopalń dla klientów. Państwo Fojcikowie mieli dwie córki: Hildegardę (po mężu Blaski) i Stefanię, która po ślubie zamieszkała w Szczekowicach.

W marcu 1945 roku ich dom został częściowo zniszczony poprzez działania wojenne.

Dom Seibłów

Właścicielami domu byli Maria (z domu Beyer) i Adam Seiblowie. Pan Seibel był stolarzem i produkował zarówno stolarkę budowlaną, jak i trumny. Państwo Seiblowie mieli troje dzieci: córkę i dwóch synów. Jeden z nich został piekarzem i pracował w piekarni Mikołaja Hilla, a drugi, tak jak ojciec, został stolarzem. Córka przed wojną pomagała ojcu w stolarni i często stroiła trumny, a w czasie okupacji pracowała na poczcie. W 1945 roku wyemigrowała do Berlina.

W marcu 1945 roku ich dom został częściowo zniszczony.

Dom Zdziebłów

Właścicielami domu byli Joanna (z domu Bronna) i Wincenty Zdziebłowie. Pan Wincenty był ślusarzem i mechanikiem. W tej rodzinie urodziło się dziewięcioro dzieci, w tym dwóch synów. Jeden z nich, Rudolf, odziedziczył po rodzicach dom i warsztat ślusarski. Wraz ze swoją rodziną zamieszkał na rodzinnej posesji w drugim domu, bowiem parterowy budynek mieszkalny, stojący tuż przy ulicy Górnej, jeszcze przed wojną został rozebrany.

Dom Bonków

Właścicielem domu był Roman Bonk. Pierwotnie posesja była jednak własnością Johana Dzionego, którego jedyna córka Helga wyszła za mąż za pana Bonka. Rodzina Bonków wyprowadziła się do Świętochłowic, a po wojnie wyemigrowała do Niemiec.

W marcu 1945 roku dom został częściowo zniszczony.

Dom Lubeckich

Właścicielem domu był Paweł Lubecki, który przybył z Katowic do Żor w 1924 roku. Pracował u mistrza Stohla jako blacharz dekarz. W 1928 roku ożenił się z Elżbietą (z domu Kocwaj), z którą miał czworo dzieci: Krystynę (po mężu Bojda), Elfrydę (po mężu Bortlik), Pawła i Bernarda. Dom przy ulicy Górnej zakupił w 1936 roku.

Z ustnego przekazu wiadomo, że dom ma ponad 150 lat. Podobno w tym budynku w XIX wieku przez jakiś czas mieściła się ewangelicka szkoła powszechna. Potwierdza to specyficzny układ wnętrza, który pozostał do dzisiaj.

Przed wojną wejście do budynku znajdowało się pośrodku domu. Oficyna przylegała do okazałego fragmentu zabytkowego muru obronnego. Ówczesne władze nie były zainteresowane ochroną zabytków, więc właściciele bez przeszkód mogli usunąć fragmenty muru będące dla nich przeszkodą.

W marcu 1945 roku dom rodziny Lubeckich uległ całkowitemu zniszczeniu.

Dom państwa Lubeckich był ostatnim domem ścisłej zabudowy lewej strony ulicy Górnej. Następna działka była własnością Józefa Szczepanka, którego rodzinę i dom przedstawiono wcześniej wśród mieszkańców ulicy Drzewnej.



Zakończenie

Dzięki wspomnieniom pani Ireny można było wskrzesić pamięć wielu żorskich rodzin i poznać ludzi, którzy żyli przed nami. Wspomnienia przekazane zostały z wielkim sentymentem do minionego czasu, często z ogromnym poczuciem humoru, a czasami z łezką wzruszenia. Autorka wspomnień miała zaledwie niecałe jedenaście lat, gdy w jej beztroskie dzieciństwo wkroczyła historia i rozpoczęła się II wojna światowa.

Była starsza o kilka lat, gdy do Żor zbliżał się front walk radziecko – niemieckich. W styczniu 1945 roku władze niemieckie nawoływały mieszkańców do opuszczenia miasta.

Większość niemieckich rodzin wyjeżdżała dobrowolnie, ze strachu przed zbliżającym się frontem. Niemniej nie byli przepędzeni przez Polaków, którzy przez całą okupację sami żyli w strachu przed wypędzeniem, wysiedleniem czy wywózką do obozów.

Powojenne lata, jak sama mówi, nie należały do łatwych. Pani Irena pozostała w Żorach i nigdy nie szukała innego miejsca na świecie. Tutaj pokochała i poślubiła żorzanina Antoniego Twardzika, który jako lekarz chirurg przepracował 48 lat w żorskim szpitalu, doprowadził do utworzenia w mieście placówki pogotowia ratunkowego i oddał do użytku nowy szpital na osiedlu Księcia Władysława.

*Fotografia rodzinna
Ireny i Antoniego
Twardzików*



Wraz z mężem zamieszkała w rodzinnym domu i tutaj urodziła dwoje dzieci: córkę Joannę i syna Jacka. Jest z nich bardzo dumna. Poszli w ślady ojca i wybrali dla siebie niełatwy zawód lekarza. Oboje, zresztą jak ich ojciec, traktują swą pracę jako służbę człowiekowi – szczególnie temu, który będąc chorym potrzebuje pomocy.

Urzeczywistniło się również jedno z jej marzeń. Wraz z mężem wybudowała w Żorach własny dom, a rodzinną kamienicę przy dawnej ulicy Drzewnej przekazała córce Joannie. Dziś chętnie wspomina dawne lata i swoją młodość. Z niezmiennym wzruszeniem wspomina życie u boku męża Antoniego, dla którego przez prawie pół wieku była najwierniejszą towarzyszką, aż do Jego śmierci w 2000 roku.

Na dawnych ulicach Drzewnej, Górnej i Garncarskiej mieszkają dziś w nowych domach potomkowie i inni krewni przedwojennych właścicieli. Są też nowi mieszkańcy, którzy dopiero „zapuszczają” tu swoje korzenie. Obecni właściciele i lokatorzy domów będą świadkami i twórcami nowej historii miasta.



Spis treści

Słowo wstępne	5
O autorce	7
Wspomnienia	9
O rodzinie	9
O pamiętnych wydarzeniach	14
Z życia kulturalnego miasta	15
O okupacji	17
O szkole	21
Ulica Drzewna	26
Dom Winklerów	27
Dom Kasprowskich	29
Dom Hitscholdów	30
Dom Musiołów	31
Dom Barteckich	31
Dom Henselów	32
Dom Szczepanków	32
Świński Targ	33
Dom Hallasów	34
Dom Greczych	34
Dom Wróblewskich	35
Dom Heiligów	36
Dom Kroczków	38
Dom Bryszów	39
Dom Kulasów	40
Dom Ludwigów	43
Dom Gettlerów	44
Dom Kuberków	44
Dom Piecuchów	46
Dom Durynków	49
Dom Solorzów	50
Dom Spików	50
Dom Mikołajców	51

Ulica Garncarska	53
Magazyny Mikołajca	55
Ochronka	55
Dom Geislerów	56
Dom Mandlów	56
Dom Brózdów	56
Dom Materów	56
Dom Ogiermanów	57
Dom Żabków	57
Dom Kusiów	57
Ogród Winklera	57
Ulica Górna	58
Dom Jończyków	59
Dom Galusów	59
Dom Bimlerów	59
Dom Mikołajca (Poczta)	59
Dom Kornasów	60
Dom Janasów	60
Dom Forytów	60
Dom Adamków	61
Dom Hillów	61
Dom Kubiaków	62
Dom Krusberskich	62
Dom Kurdów	63
Dom Karczoków	63
Dom Niechojów	63
Dom Seibłów	64
Dom Zdziebłów	64
Dom Bonków	64
Dom Lubeckich	64
Dom Medłów	64
Zakończenie	66